

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr TEL 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 8 maja 1909. Nr. 19.

Reakcya pod sądem.

(Treść na str. 2).



Reakcyoniści pod sądem.

(Do illustracyi tytułowej).

Z chwilą, gdy Młodoturcy stali się panami Konstantynopola, wybiła ostatnia godzina rządów dotychczasowego padyszacha Abdul-Hamida i dworskiej kamaryli, którą zupełnie słusznie posądzają o zainicyonowanie ostatnich niepokojów. Po detronizacyi sułtana i proklamowaniu jego następcy Reszada, jako Mahometa V, wybiła też dla reakcyonistów godzina sądu. Byłego sułtana przewieziono do Salonik, gdzie pod silną strażą, jako jeniec wojenny zamieszkał w jednej z ustronnych will, komisya zaś, złożona z przedstawicieli obozu młodotureckiego stronnictwa rozpoczęła śledztwo, aby ustalić, kto ponosi winę. Przesłuchano członków dworu sułtańskiego, wielu wojskowych i duchownych i jak się pokazało, bunt pomiędzy żołnierzami nie został wywołany pobudkami politycznemi, lecz jedynie tem, że żołnierze zostali przekupieni. Podnieta do buntu wyszła w każdym razie z Ildiz-kiosku i jeśli nie z woli i rozkazu sułtana, to w każdym razie za wiedzą jego otoczenia, które w ten sposób chciało sparaliżować wzrastające wpływy młodotureckie.

Sąd wojenny rozpoczął swą działalność i rozpatrzył dotąd sprawę wielu bardzo buntowników, z których część uwolniono, część zaś skazano na deportacyę lub karę śmierci. Powieszono między innymi jednego majora, który dosłużył się tej rangi od prostego żołnierza, a popierany był przez reakcyę. Udowodniono mu udział w zamordowaniu w dniu 13 kwietnia ministra sprawiedliwości. Egzekucyi dokonano częściowo na moście galackim, częściowo przed parlamentem i to nocą w jak największej tajemnicy. Z nastaniem dnia nieprzeliczone tłumy zaległy plac egzekucyi, gdyż Młodoturcy dla postrachu polecili pozostawić na widoku publicznym ciała skazańców.

Sytuacyi mimo tych represyi ze strony obecnego rządu nie można jednak uważać za wyjaśnioną, pomiędzy zwolennikami dawnego porządku, głównie hodżami, ulemami i softami wre ciągle. Odbywają on. tajemne narady, a choć wielka liczba została uwięzioną i czeka ich śmierć lub wygnanie, innych to nie odstrasza, konspirują, choć w dobrej wierze, bo w obronie rzekomo zagrożonego islamu.

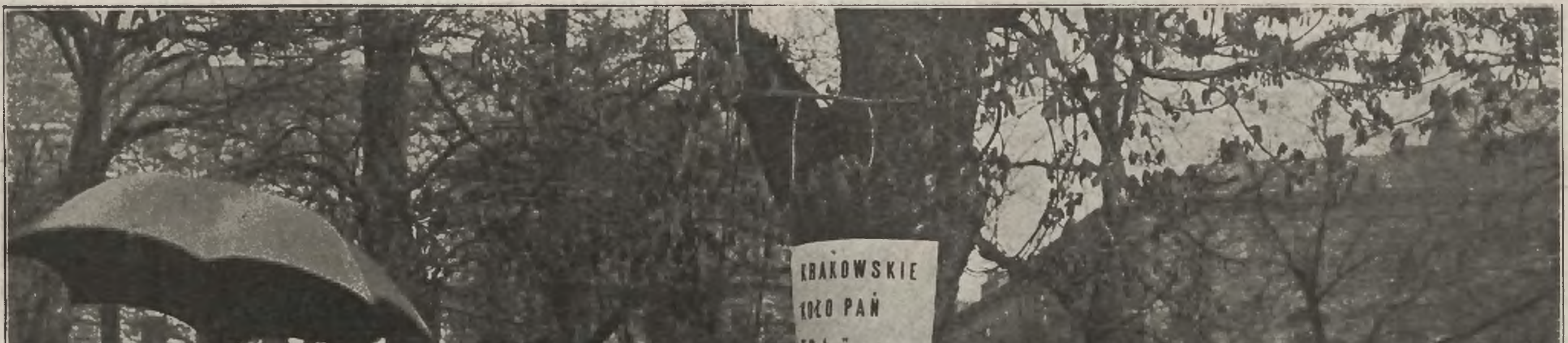
Więzienia konstantynopolitańskie są przepełnione. Illustracya nasza przedstawia pochód uwięzionych, kierujący się w stronę budynku, gdzie urzęduje sąd wojenny.



Powrót rezerwistów z Bośni: Publiczność i rodziny rezerwistów, otaczające oddział żołnierzy przed dworcem kolejowym.

„Dar narodowy 3-go maja" dla Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Tak piękne cele posiadające i tak skutecznie dla ich urzeczywistnienia pracujące Towarzystwo Szkoły ludowej, potrzebuje ciągłej a wydatnej pomocy ze strony społeczeństwa, któremu nie wolno zapo-



„Dar narodowy 3-go maja" dla Towarzystwa Szkoły ludowej: Stolik z paniami zbierającemi datki na plantacyach w pobliżu kawiarni Janikowskiego.

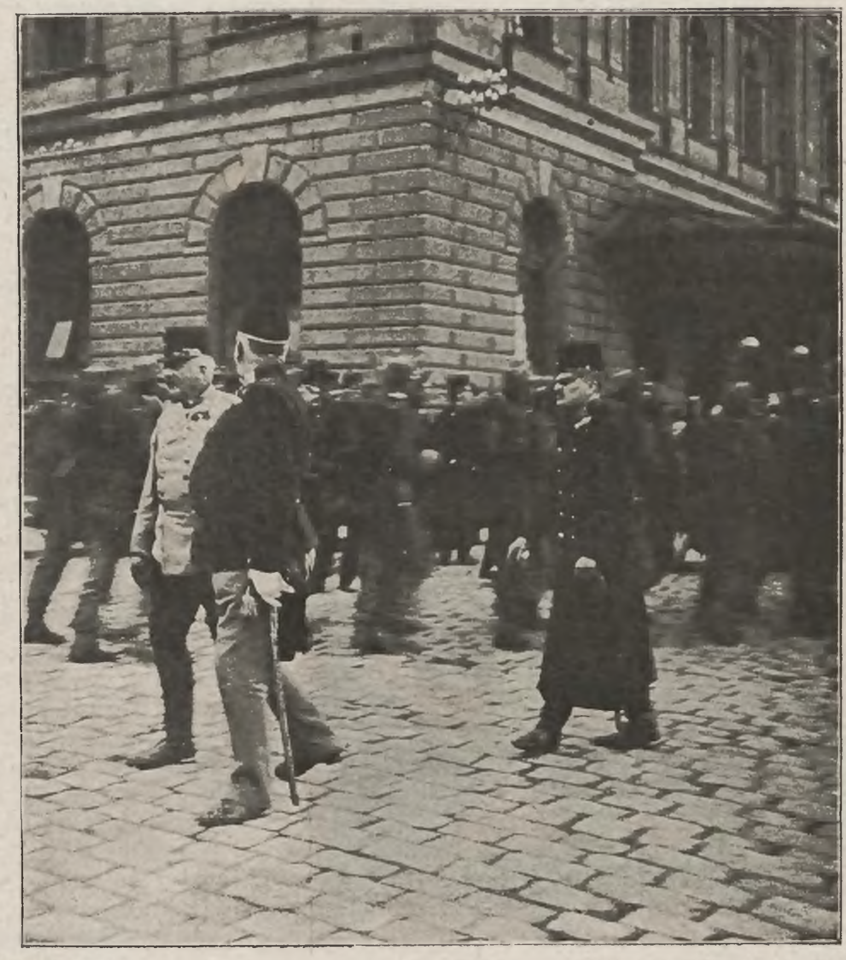
minać, że oświata ludu, to jeden z najważniejszych czynników odrodzenia naszego narodu. Bardzo też chwalebnym i praktycznym jest zwyczaj rzeczonego Towarzystwa, zwracania się do jaknajszerszych warstw naszego społeczeństwa o składki na jego

sprzedawały kwiaty i biało-czerwone kokardki na rzecz funduszów Towarzystwa.

Fatalna niepogoda, jaka spadła niespodzianie na Kraków w dniu 3-im maja, nie pozwoliła, niestety, na wykonanie całego programu uroczystego obcho-



Powrót rezerwistów z Bośni: Odmarsz rezerwistów z dworca ku koszarom.



Powrót rezerwistów z Bośni: Generał-major Altman podczas wymarszu rezerwistów z dworca.

cele w każdą rocznicę ogłoszenia wiekopomnej Konstytucyi 3-go maja.

I w roku bieżącym Towarzystwo szkoły ludowej już w przeddzień tej rocznicy, tj. w niedzielę, zwróciło się do mieszkańców Krakowa o składki za pośrednictwem Koła pań i Koła akademickiego. W tym celu zostały w wielu punktach miasta ustawione stoliki, przy których zasiadło grono uroczych krakowianek. Panie te zbierały dary do puszek, oraz

du, który był na ten dzień projektowany. Odpadło też w tym dniu, tj. w poniedziałek, zbieranie składek na placach, ulicach i plantacyach, które odbędzie się w dalszym ciągu dnia 9 b. m., podobnie, jak reszta niewykonanego z powodu niepogody programu.

Rycina nasza przedstawia w bardzo udatnem zdjęciu jeden z takich stolików, ustawiony na plantacyach w pobliżu kawiarni Janikowskiego.

Odwiedziny Węgrów we Lwowie.

Bardzo miłych gości powitała w dniu 2 maja w swych murach stolica naszego kraju. Byli nimi Węgrzy, którzy w liczbie 40 osób przybyli do nas, „aby — jak wyrazili się w liście poprzednio nadesłanym do reprezentacyi miasta Lwowa — w dniu 3-im maja złożyć Braciom Polakom zapewnienie stałej i niezmiennej sympatyi, którą żywią Węgrzy ku drogim sąsiadom z za Karpat“.

Wśród członków tej delegacyi znaleźli się przedstawiciele wszystkich warstw narodu węgierskiego. Na jej czele stanęli członkowie Sejmu: Dr Csepan, Dr Kovacs, Dr Nagy i Dr Molnar, a należeli do



Odwiedziny Węgrów we Lwowie: Delegacya węgierska opuszcza dworzec kolejowy we Lwowie. (Fot. Münz Lwów

niej członkowie Rady miejskiej w Budapeszcie, członkowie kongregacyj komitatowych i przedstawiciele młodzieży szkół wyższych z całych Węgier, którym przewodniczyło prezydyum Związku ogólno akademickiego w osobach: Dra Lancsi'ego, Dra Łukaszkiewicza i Dra Nagy'ego.



Śmierć znanego rzemieślnika-literata: Ś. p. Adam Staszczyk.

Dla nas tem milszemi i cenniejszemi są te odwiedziny węgierskie, ponieważ niedawno temu pewna część akademickiej młodzieży węgierskiej, obałamucona przez nielicznych węgierskich prusofilów, postanowiła wysłać do stolicy Niemiec chór akademicki i ponieważ równocześnie w Sejmie węgierskim odezwały się głosy, zabarwione wstrętnym wobec Berlina serwilizmem. Tych prusofilów wykluczył jednak ogół młodzieży akademickiej ze swego grona, oraz postanowił zorganizować wycieczkę do Lwowa celem zadokumentowania swych właściwych przekonań i sympatyj.

Węgrów, których przyjazd do Lwowa ilustruje nasza rycina, przyjmowano z serdecznością i zapałem, na jaki umieją, gdy chcą, zdobyć się lwowiacy. Wzięli oni udział 2 maja we mszy polowej i pochodzie, poczem byli na obiedzie, wydanym na ich cześć przez radnych miejskich a wieczorem w teatrze na „Halce“. W dniu 3-im maja goście węgierscy złożyli wieńce u stóp pomnika uczestników powstania z 63-go roku a wieczorem byli na uczcie wydanej dla nich w sali strzeleckiej.

Podczas tych przyjęć nie brakło gorących przemówień ze strony gospodarzy i gości, którzy, powracając do swej ojczyzny, wynieść powinni byli ze Lwowa przekonanie, że umiemy cenić dowody sympatyi i przyjaźni ze strony narodu węgierskiego, dla którego losy były łaskawsze, niż dla nas.

Śmierć znanego rzemieślnika-literata.

Nieubłagana śmierć zbiera w bieżącym roku bardzo obfite żniwo, a szczególnie w sferach literacko-artystycznych naszego społeczeństwa poczyniła dotkliwe wyłomy. I znów zawarła się zimna mogiła, kryjąc w swem wnętrzu znanego obywatela, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli dawnego krakowskiego mieszczaństwa, który całe swe życie poświęcił cichej, a wydatnej pracy, jużto jako prawdziwy rzemieślnik artysta, jużto jako ceniony i popularny autor utworów historyczno-patryotycznych i ludowych. Nieżądny zaszczytów i gardzący szumną reklamą, pracował ś. p. Adam Staszczyk bardzo gorliwie na niwie społeczno-narodowej, ożywiony wielką miłością Ojczyzny i przywiązaniem do swego kochanego Krakowa.

Ś. p. Adam Staszczyk był znanym w Krakowie majstrem ślusarskim, prawdziwym artystą w swym zawodzie. Z jego pracowni wyszło wiele wyrobów o wielkiej wartości artystycznej, jak żelazne bramy do kościołów, misterne zakratowania chórów klasztornych i inne, które na wystawach krajowych i zagranicznych budziły podziw i szczere uznanie dla rękodzielnika, z prawdziwem znawstwem i zamiłowaniem oddającego się pracy zawodowej.

Nie zaniedbując zajęć zawodowych, poświęcał ś.p. zmarły wszystkie wolne chwile pracy literackiej, pozostawiając społeczeństwu pokaźny dorobek autorski. Za czasów poprzednich dyrekcyi wystawiał teatr krakowski bardzo często utwory dramatyczne ś. p. Staszczyka, największem zaś powodzeniem cieszyła się sztuka ludowa p. t. „Noc świętojańska“. Utwory zmarłego autora obok wartości scenicznej mają i wielką wartość literacką, to też stanowią prawdziwe perły polskiej literatury dramatycznej. Prócz dramatów, z których najbardziej znane są: „Noc w Belwederze“, „Kościuszko w Petersburgu“ i „Filareci“, pisywał ś. p. Staszczyk bardzo udatne i tchnące wielkim patryotyzmem wiersze, które drukował w różnych czasopismach. W tece pośmiertne pozostało nadto kilka nieznanych prac scenicznych, między innemi dramat historyczny wierszem p. t.: „Sejm Grodzieński“.

Ze zmarłym schodzi do grobu jedna z najbardziej typowych postaci starego Krakowa, człowiek o czystym jak łza charakterze, niewzruszonych zasadach, pracownik cichy, a pożyteczny, wzór dla młodego pokolenia mieszczańskiego, które powinno wstępować w jego ślady. Nic też dziwnego, że nagła śmierć ś. p. Staszczyka, który zmarł w sile wieku, liczył bowiem lat 56 w chwili zgonu, głęboką żałobą okryła najszersze sfery naszego miasta i społeczeństwa, a pogrzeb zasłużonego męża był świadectwem popularności i uznania, jakimi się cieszył między krakowskiem obywatelstwem.

Ojczysta ziemia, którą tak ukochał, okryła Jego śmiertelne szczątki, pamięć o nim żyć jednak będzie długo między nami, a piękna postać zmarłego stanowić wzór godny naśladowania.



Ofiara „Czarnej ręki“: Porucznik policyi w Nowym Jorku, Petrosini.



Odznaczenie zasłużonych kolejarzy: Odznaczeni w otoczeniu kolegów zawodowych. 1. Radca dworu, dyrektor Horoszkiewicz. 2. Pierwszy zastępca dyrektora p. Zborowski. 3. Drugi zastępca dyrektora p. Solecki.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

19 Ciąg dalszy.

— Ach! gdybym była o dziesięć lat młodszą, jabym tego dokonała, a co za rozkosz patrzeć na burzenie tego szczęścia mieszczańskiego! Jak panu podoba się ten projekt?

— Odpowiem, gdy z niego skorzystam.

— A nie uważa pan, że on coś *wart?*

I akcentując każde słowo, dodała:

— Na ile go pan *ocenia?*

Markiz z obojętnością w głosie, którą zawsze przybierał, gdy rozmowa była o pieniądzach, odparł:

— Proszę określić sumę.

— Czy nie sądzi pan, że pięć tysięcy franków?..

Chociaż był rozrzutny, nie mógł ukryć skrzywienia się.

— Ach — rzekła drwiąco mistress Harden — muszę panu wszystko powiedzieć: Wracam z Monte Carlo.

— Proszę nie tłomaczyć się: pani sprawy...

— ...Są pańskiemi więcej niż tego pan markiz się spodziewa.

— Jakto?

— Czy Maurycy Le Chars mimo złego stanu swego majątku nie zapłaci natychmiast tej sumy za wiadomość o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi?

Markiz spojrzał jej prosto w oczy, czując przed sobą równego sobie szermierza.

— Przecież pan nie zechce pogniewać się ze mną, o tak drobną sumę. Zwłaszcza, że odchodząc z pustemi rękami, zabiorę z sobą zastaw.

— Zastaw? zaciekawia mnie to...

— Nic nadzwyczajnego. Straci pan tylko Maud, która pożegna pięknie....

— Chciałbym to widzieć!

— Niech pan nie ryzykuje. Mam dla Maud propozycye, które mogą zakręcić w głowie najrozsądniejszej pannie. Ma ona kogoś, dla którego i milion nie wiele będzie znaczył, by tylko pana zastąpić.

— Tylko tyle?

— Tylko tyle mam zaszczyt panu powiedzieć.

— Jego nazwisko?

— To mój sekret.

— Pani o jednem tylko zapomina — odparł wzgardliwie — że Maud mnie kocha.

— Maud kocha pieniądze i pana, ponieważ pan je daje jej... Ale więcej będzie kochała tego, kto da jej trzy razy tyle.

— Skąd pani o tem wie?

— Jest moją uczenicą— odparła Czarna księżniczka. — Czy pan zapomina, że ja ją wychowałam?

Pan Morailles blednąc z gniewu uczuł nad sobą jej wyższość:

— A jeżeli wręczę żądaną sumę?

— Pozostaję pana sprzymierzeńcem i odjadę tej jeszcze nocy, o niczem nie wspominając Maud.

— Dobrze pani czyni!

I niedbale wyciągnął z portfelu czek, na którym napisał sumę i podał mistress Harden.

— Czy pan się nie omylił?

— Dlaczego?

— Napisane: dziesięć tysięcy.

— Aha, a pani żądała pięć? Drobnostka podwajam sumę.

— Jest pan rycerskim. Z przyjemnością można pozostać panu wierną.

W kilka chwil potem markiz pożegnał się z mistress Harden i Maud i wrócił do domu, a teraz spoglądał po ciemku w oświetlone okna swych gości. Jest radosny: wszystko, co Aurora z Joanną mówiły, powtórzy mu jutro niewidzialny przez nie świadek.

VIII.

CZUŁA MATKA!

Po spotkaniu z panem Mitre de Pre-Hautre powróciła do hotelu z jedyną tylko myślą, opuszczenia jak najprędszego Wenecyi. Uznała się za pokonaną. Mąż mimo swej choroby okazał się silniejszym od niej, gdyż odebrał jej dziecko. Była tak podniecona, iż nie mogły ją uspokoić nawet błazeństwa kawalera Nascogriffo, jej ostatniego lecz chwilowego tylko przyjaciela, Neapolitańczyka, o nadmiernie wielkim nosie.

— *Carissima* — powtarzał kawaler, bijąc się z całej siły w piersi — błagam cię o litość dla twych pięknych oczu, albo rzucę się w *canale Grande!*

— *Povera bambina! Angela della Madonna!* Więc ci złoczyńcy oderwali ją od twego łona. Szczęście ich, że mnie tam nie było!

I zaczął skakać, wymachując ręką, jakby bił się w pojedynku.

— Więc ty jedziesz, *mia bella*, najpiękniejsza ze wszystkich stworzeń! I bez litości opuszczasz biednego Nascogriffo; rzucasz go *per Bacco!* jak skórkę od pomarańczy!

— A co chcesz, żebym zrobiła z tobą? — zawołała Germaine, złoszcząc się i pakując do kufrów swe rzeczy. — Spędziliśmy razem miłe chwile. Chyba nie sądzisz, by miały one być wieczne! Zdaje mi się, że nie masz ochoty towarzyszyć mi.

— Ach! okrutna! Czyż mogę jechać?

Podniósł ręce i oczy do góry.

— Nascogriffo jest rycerski, Nascogriffo jest szlachcic, ale gdzie jest majątek Nascogriffa? Nascogriffo bogaty jest tylko w honor! *Povero!*

— Nie masz co mówić, byłeś bardzo miłym towarzyszem — i uśmiechnęła się do niego, zapominając już o córce — pożegnajmy się jako dobrzy przyjaciele; pojutrze będę w Genui, a potem odszukam Pre-Hautrego w Monte Carlo.

— *Oh! Dolore!* — jęczał Neapolitańczyk. — Torturujesz mnie z radością. Pre-Hautre jest gentleman, to mój przyjaciel. Zdradzałem go z rozkoszą, zdradziłbym go jeszcze, gdybym mógł, lecz że mój drogi przyjaciel będzie pieścił twe różane ciało... Przekleństwo na jego głowę! Chciałbym go widzieć *al fondo della laguna!*

Poprawił sobie włosy na głowie, przejrzał się w lustrze i dalej jęczał, uśmiechając się litośnie.

— *Sicuramente, mia Ninettina,* jabym poszedł za tobą aż na księżyc, lecz co czynić bez *moneta*... A nawet wyznam ci jestem w wielkim kłopocie, jak opuścić hotel: rachunek, *mia dolce*, rachunek *terribille!*

— Aha! — odezwała się Germaine, wiedząc o co chodzi — nic więcej tylko to? Dam ci już na zapłacenie. Ja jestem dobrą księżniczką, słuchaj: wezmę cię z sobą do Medyolanu. Tam ostatni przystanek spędzimy, a potem do widzenia! I już koniec ostateczny!

— *Paradiso!* — zawołał Neapolitańczyk, całując jej ręce. Zjemy *rizotto* w *albergo*, jakiego niema na całym świecie, a potem biedny Nascogriffo, opuszczony przez niebo, ludzi i swą *tanta amatissima* pozostanie sam z papierkiem stu lirów w kieszeni....

— Nie troszcz się, Giovanni, będziesz je miał!

— Jesteś najsłodszą ze wszystkich kobiet!

W pięć minut potem Germaine nuciła wesołą piosenkę neapolitańską *Funiculi-Funicula*, a Nascogriffo palcami jednej ręki przebierał po drugiej, jakby akompaniował jej na gitarze.

Rzuciła mu się na szyję.

— Jak ty jesteś śmieszny mój mały Vanni. Będę cię żałowała mimo wszystko.

— Nie rozrzewniaj mnie — odrzekł patetycznie, wycierając oczy z niewidocznych łez...

Germaine śmiała się z radości, zapomnając o swych kłopotach.

W dwa dni potem przybyła do Monte Carlo.

Nie uprzedziła pana de Pre-Hautre o swoim przyjeździe, nie wątpiąc, że przyjmie ją z entuzyazmem: opuściła go bowiem przed kilku tygodniami po gwałtownej scenie — kłócili się i przepraszali bez ustanku — a on potem codziennie pisywał błagalne listy, by powróciła.

Zatrzymała się w hotelu, w którym on mieszkał, zapytała o jego pokój i weszła do środka bez pukania.

Znalazła się w ciemnościach, gdyż żaluzye nie przepuszczały światła.

— No, wreszcie! dużo czasu potrzebujecie, by przynieść czekoladę!

Poznała głos pana de Pre-Hautre. Chciała już cofnąć się, sądząc, że się pomyliła.

— A to co znowu! kto to? — zawołała oburzona Germaine. — Tyś śmiał!

Słysząc ten świeży, rozkazujący głos, wyskoczył szybko z łóżka i okrył się jakimś płaszczem.

— Ninetko, to ty! uspokój się, wszystko wytłomaczę.

Blady, chudy, podobny do Don Kiszota, łysy, o twarzy pomarszczonej, z nabrzmiałemi powiekami, błagał ją, gdy ona pewna siebie z hałasem otwierała żaluzye.

— No, ale!... doprawdy! Za kogo ty mnie masz!... Mnie oszukujesz! A ja tak ci ufałam!

Starał się wprowadzić ją do drugiego pokoju.

— Moja najdroższa, mów ciszej! To twoja wina, dlaczego mnie opuściłaś?

— I ty śmiesz o to pytać po twoich skandalach, jakie wyprawiasz. Ładny przykład dla mej córki!

— A jak się ma kochana Gizela?

Pan Pre-Hautre kochał prawdziwie jej córkę.

— Także wybrałeś czas do czułości! Ty o to pytasz? Nie, nie powiem ci. Jesteś już dla mnie obcym!

— Ninetko, przebaczenia! Mówię ci szczerze, całą noc byłem chory na żołądek.

— Toś ty wziął ją do pielęgnowania?

— Wczoraj byłem na kawalerskiej kolacyi, trochę piłem...

— I w oczach ci się dwoiło...

— Tak... trochę... Przedtem wygrałem...

— Wiele?

— Siedmnaście tysięcy pięćset. Starczy na toalety dla ciebie i Gizeli.

— Nie chcę już nic od ciebie. Jadę do Paryża.

— Nie opuszczę cię. Czy sądzisz, że ja zgodzę się porzucić ciebie i twą córkę. Ona już trochę jest i moją od tych trzech lat.

— Moja córka! Ty śmiesz coś podobnego mówić! Lecz ty nieszczęśliwy nie wiesz jeszcze!

— Co takiego?—zawołał przestraszony.—Przecież nie jest chora? Gdzie ją zostawiłaś?...

— Nie dowiesz się.

— Ninetko, nie dręcz mnie, gdzie jest Gizela?

— To teraz o nią troszczysz się, lecz gdy ja czuwałam po całych nocach przy chorem dziecku, tyś się tu bawił, nie było cię do obrony, gdy jej ojciec, ten stary nędznik porwał mi ją siłą!

— Co ty mówisz? Ta kanalia porwał Gizelę.

— Tak, pomógł mu konsul, miał za sobą prawo!

— Lecz nie można tego tak pozostawić. Pomogę ci i odbierzemy dziecko.

— Ty pomożesz? nie trzeba było przedtem zaniedbywać swych obowiązków, mój drogi. A teraz do widzenia!

Tak szybko wybiegła, iż nie zdążył jej przytrzymać. Zrozpaczony, wrócił do siebie i zaczął pospiesznie ubierać się. Jego towarzyszki już nie było. W godzinę potem szukał Ninetki po ogrodach, salach gry, na dworcu kolejowym.

Naraz zatrzymał się przed otyłą damą, nadzwyczaj elegancko ubraną.

— Amelia! to pani! Co za spotkanie!

Była to Amelia Trousset. Znała go z dawnych czasów: nie raz przychodził do niej, przez nią poznał się z Germaine.

— Tak, to ja — odpowiedziała z godnością — obecnie w podróży poślubnej.

— Jakto, pani wyszła za mąż?

— Od tygodnia już, a oto mój mąż.

Wskazała na młodego, szczupłego mężczyznę, podobnego do gimazyalisty, z szyją obwiązaną chustką.

— Lalu, przedstawię cię!... Pan Narcyz Nivoret, mój mąż, margrabia de Pre-Hautre. A teraz moje dziecko wróć do hotelu na swą szklankę mleka. Trochę jest zakatarzony — tłomaczyła.

Pan Nivoret posłuszny ukłonił się i odszedł.

— Cieszę się bardzo, że panią spotykam, moja droga Amelio — rzekł margrabia, nie wydając żadnego sądu o jej mężu, który raczej wyglądał na jej syna. Proszę sobie wyobrazić...

— Już wiem, już wiem... Ninetka!

I pogroziła mu palcem.

— To pani ją spotkała, opowiedziała już?

— Wszystko. Bardzo zasmucona jest.

— Moja droga Amelio, gdzie ona teraz jest?

— Musiałam jej przysiądz, że nie zdradzę adresu.

— Ja tak bardzo żałuję, że to się stało...

— A ona dostała ataku nerwowego. Czyż to nie straszne, stracić córkę i natrafić na taką scenę.

— Ależ ja ją kocham i chcę to wszystko naprawić.

— Powiem jej to.

— Zaprowadź mnie do niej.

— Niemożliwe, bo przysięgłam.

— Amelio!

— No dobrze już, lituję się. Zaproś na śniadanie, cztery nakrycia, a ja przyprowadzę Ninetkę.

— Amelio, jesteś czuła, stara... chciałem powiedzieć wiecznie młoda, czuła przyjaciółka! Przygotuję doskonałe śniadanie.

— Ale dla Lola tylko dwa jajka na miękko i makaron. Jest na dyecie biedaczek.

Udając, jakby szukała coś w woreczku, dodała:

— Ach! mój Boże, zapomniałam pieniędzy. Pożycz sto franków na grę, czuję, że wyjdzie zero.

Pre-Hautre chciał spełnić jej prośbę i chciał iść razem.

— O, nie, nie, pozostań... mam przesąd przy grze. Lepiej zamów stolik dla nas. Tylko wina czerwonego niech nie będzie. Lolo go nie znosi.

— Szampan mrożony?

— O tak!

— Ale przyprowadzisz Ninetkę?

— Rzucę ci ją w ramiona.

Amelia poszła do sali gry, gdzie przy jednym ze stołów Ninetka najswobodniej grała na czerwone. Opowiedziała jej o rozmowie z panem Pre-Hautre i uradziły razem, by Ninetka podczas śniadania udawała w dalszym ciągu obrażoną.

— Tak, niech się trochę pomęczy — zawyrokowała Amelia, a że zawsze była praktyczna, dodała:

— Pożycz mi sto franków, jestem pewna, że wyjdzie 22: jest to wiek Lola.

I istotnie numer ten wygrała.

W godzinę potem obie przyjaciółki i Lolo wchodzili do restauracyi, gdzie czekał już na nich rozpromieniony pan Pre-Hautre przy jednym ze stolików. W chwilę po nich na sali ukazała się wysokiego wzrostu kobieta ze śladami dawnej piękności, w towarzystwie młodej bardzo pięknej brunetki i starszego wiekiem gentlemana. Siadły w pobliżu. Pomiędzy dwoma stołami zamieniono uśmiechy porozumiewające.

— Nie patrzcie w ich stronę — rzekła Amelia, zniżając głos. — Jest to mistress Harden, bogata Amerykanka, moja dobra klientka.

— Ta mała w jej towarzystwie ładna jest... — odezwał się Pre-Hautre, lecz zaraz zamilkł wobec gniewnego wzroku Ninetki.

— Ten stary — tłomaczyła Amelia — jest to najwykwintniejszy lord. Patrz, jak wszyscy są na jego usługi: właściciel, garsoni, chłopcy...

— A co ona robi ta mistress Harden — zapytała Ninetka.

— Wychowuje kurczęta na sprzedaż...

— Co?

— Fabrykuje kokotki...

— Ładne zajęcie.

— Jeszcze i jak! Ono puściła w świat Maud Kiss i dobrze, bo ulokowała ją u markiza Morailles. A teraz tę pupilkę ustąpi lordowi Plumby.

— Co ona z tego ma?

— Znaczne sumy.

— I co robi z pieniędzmi?

— Gra. Wygrała już masę złota, potem wszystko na nowo straciła. Ona miała nadzwyczajne przygody w życiu, była księżniczką...

Kaszel Lola przerwał opowiadanie, wyciągnęłe rękę i schwyciła filiżankę, którą niósł do ust.

— Nie można kawy, mój malutki, tylko rumianek gorący możesz pić. Garson! rumianku gorącego!

Ninetka i jej ukochany nie mogli powstrzymać się od śmiechu; spojrzeli na siebie i roześmiali się jeszcze głośniej; powracała między nimi zgoda.

Po wyjściu z restauracyi Amelia oznajmiła, iż musi dopilnować, by Lolo odpoczął godzinkę, co bardzo dobrze wpływa na trawienie, zakochana zaś para udała się do ogrodu.

— Ninetko... — szeptał pan Pre-Hautre.

— Co takiego? — rzekła, udając powagę?

— Prawda, jaka śmieszna ta gruba Amelia ze swym mężem?

— Ach! rzeczywiście!

I śmiejąc się głośno, zapytała:

— Gdzie ona go znalazła?

— Bocian jej go przyniósł.

— Ach, jakiś ty nieprzyzwoity.

— Ale tyś mi już przebaczyła, powiedz, że się nie gniewasz.

— Nie zasługujesz na to.

— A ja jeszcze przed śniadaniem postarałem się o mały prezencik dla ciebie — i wyjął z kieszeni pudełeczko, które ona niedbale otworzyła. Była w niem bransoletka wysadzana szmaragdami.

— Jesteś zbyt rozrzutny!

— Podoba ci się?

— Bardzo, ucałowałbym cię za to, Kajetanie, ale ja tego nie mogę przyjąć.

— Dlaczego?

— Zraniłeś moje uczucia bez litości.

— Ninetko, na wszystko, co nas od trzech lat łączy, na Gizelę....

— Jeżeli jeszcze będziesz mi mówił o córce, rozpłaczę się.

— Nie martw się, odbierzemy ją.

— Kiedy ja nie chcę procesów, skandali...

— Obejdzie się bez tego. Będziemy czatowali na Gizelę i w odpowiedniej chwili porwiemy ją i uwieziemy w czekającej na to karecie. Jak ci się to podoba Ninetko?

— Byłaby to doskonała farsa! Niechby ten stary nędznik gonił nas potem!

W projekcie tym widziała tylko nową rozrywkę dla siebie, nie mając bowiem córki przy sobie, przestała już o niej myśleć. Co z oczu to i z serca, byłe tylko zawsze mogła się bawić i używać.

Pogodzeni poszli z ogrodu do sali gry, gdzie stracili kilkanaście tysięcy franków. Na drugi dzień przybyli do Paryża.

IX.

NIEUDANE PORWANIE.

Po obiedzie starsza pani Mitre czyniła według zwyczaju przegląd mieszkania, aby upewnić się, czy Edgard, spoczywając już w łóżku, zażył lekarstwo, czy Made pracuje w swem pokoju i czy służąca czyści naczynia kuchenne. Obuta w pantofle filcowe, co jej pozwalało chodzić bez szelestu, wróciła do swego pokoju, gdy naraz usłyszała szept jakiś u wnuczki.



Zaintrygowana i niespokojna, podsunęła się nieco pode drzwi i otworzyła je nagle.

Pani Mitre była z usposobienia już bardzo podejrzliwa. Czuwała też teraz nad Made pilnie, by jej nie porwano.

Zaintrygowana i niespokojna, podsunęła się cicho pod drzwi i otworzyła je nagle, akurat w chwili, gdy służąca Gertruda podawała Made jakiś papier.

— Proszę mi oddać ten papier! — rozkazała stanowczo.

Przestraszona Gertruda chciała go odebrać Made, lecz ta posłuszna oddawała już pani Mitre.

— Proszę, babciu.

— Dobrze, Magdaleno, połóż się zaraz, a z tobą, Gertrudo, mam do pomówienia.

Zawstydzona służąca poszła za swą panią.

— Kto ci dał ten list? — zapytała grobowym głosem.

— Ach, proszę pani — lamentowała Gertruda — ja nie chciałam go brać, lecz ta pani mnie wzruszyła, ona była taka ładna i dobra!

— O jakiej pani mówisz?

— Przecież o mamie panienki. Zaraz można poznać, że kocha swą córkę. Taką miała nieszczęśliwą minę.

— Aha! Minę!... A dużo ci dała, by nas oszukać? Wstyd Gertudo, że odważyłaś się na to, gdyby mój syn o tem dowiedział się....

— Pani wie, jak ja jestem oddana pani i panu, który jest dobry jak baranek i panience. Ja jestem uczciwa i przysięgam na wszystkich świętych, żem nie chciała nic brać za to, a ta piękna pani siłą wsunęła mi do ręki Ludwika.

— Gertrudo, nie wiem co jeszcze razem z panem postanowię względem ciebie, wiedz jednak iż przyłożyłaś rękę do złego czynu. A co do tej pani, słuchaj mnie uważnie, bo lepsze od niej znajdują się w więzieniu. Jest to....

Słowo, jakie odważyła się wymówić pani Mitre, było tak straszne i niespodziewane, że Gertruda roztworzyła z wrażenia usta i przeżegnała się.

— Panie Boże!

— Idź czyścić naczynie i nigdy ani słowem nie odzywaj się do panienki.

— Dobrze, proszę pani.

Po odprawieniu służącej pani Mitre udała się wprost do syna, drzemiącego nad dziennikiem.

— Patrz i czytaj!

Pan Mitre przeczytał półgłosem.

„Moja Giziu, moja Ziziu, moja córeczko ukochana!

Wylałam już wiele łez od chwili, gdy tak okrutnie odebrano mi ciebie. Omal nie umarłam z żalu, byłam jak szalona i teraz chudnę, nic nie jem...

Ale nie mówmy o mnie... Jestem pewna, żeś ty nie przestała myśleć o swojej mameczce. Przyjechałam do Paryża, by ciebie zobaczyć. To jest łatwe, o ile zechcesz uczynić to, co ci powiem.

Osobie, która ci odda ten list, dasz pokryjomu małą kartkę z wiadomością, czy mnie kochasz, w jakiej porze wychodzisz i z kim. O resztę postaram się sama.

Powiedz mi także, czy troszczą się o ciebie, w co wątpię. Ciesz się, ukochana Gizelo, gdyż wkrótce będziemy razem i szczęśliwi jak przedtem.

Twój dobry tatko, Kajetan, ściska cię, a ja cię całuję sto razy.

Twoja mateczka

Germaine“.

— Nędznica — zawołał pan Mitre. — Każde jej słowo zatrute. Ach, jak ona kłamie!

— Bądź spokojny. Wiesz, że wszelkie wzruszenia są ci zabronione. Będę pilnowała Gertrudy, a Made wychodzić będzie tylko ze mną.

Pan Mitre przyglądnał się kopercie mnąc ją w dłoni.

— Nie dała adresu, naturalnie. Spodziewała się, że Gertruda przyniesie jej odpowiedź. Ach, nędznica, chce mi ukraść Made, moją córkę! Przerzchciła ją na Gizelę, bo to szykowniej! Stroiła ją jak lalkę, na pokaz!

— Edgardzie, uspokój się!

— Chce wojny ze mną, dobrze! Przekonamy się, czy ludzie uczciwi nie mogą się bronić przed najściem łajdaków. Do władzy trzeba dać znać! Do samego prezydenta pójdę, wszystko poruszę...

Naraz kaszel przerwał mu słowa, przytknął chustkę do ust, ukazała się krew.

— Dziecko kochane, bądź spokojny. Made nic się nie stanie, sama drzwi pozamykam i klucze schowam pod poduszkę. Odpocznij. Gertrudę wydalę.

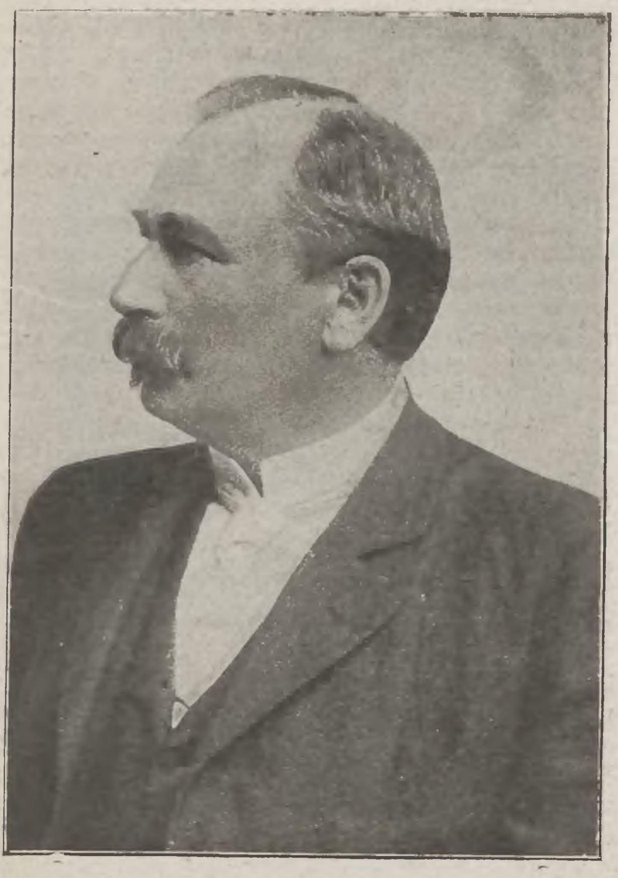
— Nie — odrzekł z trudnością pan Mitre. — W gruncie rzeczy ona jest dobra. Pomówię z nią, może być nam użyteczna. I Made powiem...

— Co jej powiesz? — zapytała przestraszona — uważaj, że to dziecko.

— Ja jej duszy nie zatruję, lecz niech wie, kto jest prawy, po czyjej stronie jest sprawiedliwość. Biedne dziecko, co się z nią stanie po mojej śmierci. Ach, wolałbym żeby umarła, niżby miała tak żyć, jak tamta nieszczęsna.

I znowu kaszel wstrząsnął jego osłabionem ciałem, targnął sercem Made.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zgon wybitnego dziennikarza: Ś. p. Stanisław Lesznowski.



Po zwycięstwie Młodoturków: Żołnierze korpusu salonickiego tańczą z radości na ulicach Konstantynopola.



Po zwycięstwie Młodoturków: Żołnierze korpusu salonickiego, witają się ze swymi krewnymi i znajomymi w Konstantynopolu.

Zgon wybitnego dziennikarza.

W dniu 28 kwietnia b. r. zmarł w Warszawie na anewryzm serca, jeden z najwybitniejszych i najsympatyczniejszych dziennikarzy tamtejszych, ś. p. Stanisław Lesznowski, który tak niedawno temu bawił we Lwowie, jako przedstawiciel dziennikarstwa z Królestwa Polskiego przy zawiązywaniu Związku dziennikarzy polskich.

Ś. p. Lesznowski urodził się w 1848 r. w Warszawie, gdzie po ukończeniu gimnazyum i Szkoły głównej otrzymał stopień magistra prawa i administracyi. Początkowo poświęcił się sądownictwu, spełniając kolejno obowiązki asesora sądu poprawczego i podprokuratora trybunału cywilnego. Lecz już w r. 1875 objął wspólnie z Józefem Kenigiem redakcyę *Gazety Warszawskiej*, która w ręku rodziny Lesznowskich pozostawała od 1794-go roku. Po ustąpieniu Keniga w 1886 roku, prowadził ją sam, aż do ostatniego numeru w 1903 roku, gdy to najstarsze polskie pismo codzienne zostało z rozkazu władzy zawieszone.

Wśród niesłychanie trudnych warunków, w jakich żyje i działa dziennikarstwo warszawskie, umiał sobie ś. p. Stanisław wyrobić wyjątkowe stanowisko zaletami swego charakteru. Nawet jego przeciwnicy polityczni — należał do narodowej demokracyi — oddali mu po śmierci hołd, jako gorącemu patryocie, dzielnemu dziennikarzowi, wzorowemu koledze i człowiekowi, który posiadał czysty, jak łza charakter.

Cześć jego pamięci!

Po zwycięstwie Młodoturków.

W dzisiejszym numerze naszego pisma podajemy cały szereg interesujących zdjęć fotograficznych, dokonanych ostatnimi dniami w Konstantynopolu po ostatecznem zwycięstwie Młodoturków nad kontrrewolucyą i przysłanych nam stamtąd.

Oddziały wojsk wiernych centralnemu komitetowi młodotureckiemu, mogły być zaiste dumnymi z odniesionego sukcesu, z którym tak ściśle związaną była sprawa konstytucyi i przyszłego rozwoju Turcyi. Widzimy też na jednej z rycin, jak dają one wyraz swej radości, gdy już został złamany opór buntowników podburzonych i przekupionych przez Adbul Hamida, tańcząc na jednym z placów publicznych w Carogrodzie.

Następna rycina znów przedstawia żołnierzy z korpusu salonickiego, witających się ze swymi krewnymi i znajomymi, których spotkali po zajęciu stolicy.

Wiadomo, jaką rolę odegrało w kontrrewolucyi z dnia 13 kwietnia duchowieństwo mahometańskie i softowie, t. j. młodzi teolodzy. To też dosięga ich teraz sprawiedliwa zemsta zwycięzców, którzy stawiają ich przed sądy wojenne. Na dalszych rycinach oglądamy tych właśnie oto buntowników, pomieszanych ze zbuntowanymi żołnierzami, gdy idą eskortowani przez żołnierzy wiernych Młodoturkom.



Po zwycięstwie Młodoturków: Hodżowie i żołnierze wzięci do niewoli.



Po zwycięstwie Młodoturków: Cudzoziemcy opuszczają w popłochu Konstantynopol na jednym ze statków austr. Lloydu.

Dokładna cyfra ofiar, jakie padły w stolicy podczas walk ostatnich, nie jest znaną. W każdym razie jednak wynosi ona kilka tysięcy ludzi, gdyż niektóre koszary ze zwolennikami Abdul-Hamida stawiały zacięty opór. Ponieważ zaś służba sanitarna w wojsku tureckiem stoi na bardzo niskim stopniu, przeto ranni z obu stron z trudnością tylko mogli korzystać z pomocy lekarskiej. Brakło między innemi, środków do transportowania ciężko rannych, tak, że musiano przewozić ich na koniach, jak widzimy na jednej z dalszych fotografii.



Po zwycięstwie Młodoturków: Mahmud Szewket-basza, obecny *generalissimus* wojsk tureckich.

Wojska korpusu salonickiego, tj. te, na których oparli się Młodoturcy, znacznie się różnią wyglądem od wojsk, jakie stanowiły załogę stolicy. Już dla zachowania samego pozoru wobec cudzoziemców, odwiedzających Konstantynopol, Abdul Hamid nie żałował pieniędzy na ich umundurowanie i wyekwipowanie. A nawet, co w Turcyi było dotąd osobliwością, wojska te otrzymywały żołd dość regularnie, przez co zdetronizowany sułtan pragnął zaskarbić sobie ich wierność. Widzimy np. na jednem ze zdjęć bardzo dobrze się prezentujący pułk kawaleryi gwardyi, który rzeczywiście pozostał mu wiernym aż do ostatniej chwili. Następna rycina przedstawia artyleryę polową zwycięzców, która przeciąga ulicami miasta po stłumieniu kontrrewolucyi.

Niespodziewany wybuch kontrrewolucyi zaskoczył nad Bosforem mnóstwo podróżnych cudzoziemców, którzy, jak co roku, z wczesną wiosną zjeżdżają się tam masami. Uciekali oni też z Konstantynopola, ale, niestety, mogli to czynić tylko morzem, bo kolej oryentalna, łącząca to miasto z resztą Europy, zajęta była przez wojska, które zdążały na obronę zagrożonej konstytucyi. Tłoczono się też w niemożliwy sposób na statki odpływające, jak to oglądamy na fotografii, która przedstawia tłum podróżnych, wsiadających na jeden z parowców austryackiego Lloydu.

Pod wpływem strachu, który wywołać musiała ostra strzelanina, trwająca przez kilka dni w Konstantynopolu, życie uliczne prawie zamarło było w tem mieście. Można się o tem przekonać z ryciny, przedstawiającej zwykle olbrzymio ruchliwy punkt, jakim jest stary most, który łączy dzielnicę Stambuł z Galatą. Widzimy na nim tylko kilku żołnierzy, przechodniów — ani śladu.

Podajemy także portrety dwóch osobistości, na które zwróconą jest obecnie powszechna uwaga opinii publicznej w Turcyi. Pierwszą z nich jest Mahmud Szewket-basza, dowódzca III korpusu armii w Salonikach, obecnie *generalissimus* wojsk młodotureckich w Konstantynopolu. Okazał on w czasie ostatnich wypadków nadzwyczajną energię, oraz niepospolite zdolności wojskowe.



Po zwycięstwie Młodoturków: Artylerya polowa korpusu salonickiego.



Po zwycięstwie Młodoturków: Transport ciężko rannego żołnierza na koniu do szpitala.

Drugą osobistością jest Jussuf Izzedin-efendi, syn sułtana Abdul Medżyda, który wedle „szeriatu“, tj. religijnego prawa muzułmańskiego, jest obecnie następcą tronu, jako najstarszy członek rodziny sułtańskiej po Mehmedzie V-ym.



Po zwycięstwie Młodotórków: Pułk kawaleryi gwardyi, który pozostał wierny Abdul Hamidowi.

Zgon zasłużonego obywatela.

Nową bolesną stratą zostało dotknięte społeczeństwo polskie. Zmarł bowiem jeden z najzacniejszych synów narodu, patryota szczery i gorący, obywatel rzadkich cnót i wielkich zasług, ś. p. dr. Tadeusz Skałkowski. Cicha była śmierć jego, jak ciche ostatnie lata życia. A bolesna tembardziej, że przyszła na obczyźnie, w Beaulieu koło Nicei, dokąd wyjechał celem poratowania nadwątlonego zdrowia.

S. p. Skałkowski urodził się w 1845 r. w okolicy Tarnowa. Lata dziecińnstwa pozostawiły w jego duszy szereg smutnych, tragicznych wspomnień, przedewszystkiem pamiętną rzeź galicyjską, której ofiarą padł jego ojciec, ziemianin i poeta. Młody chłopak wychowywał się w atmosferze patryotycznej, przejął się też wcześnie miłością ojczyzny. Jako uczeń VI klasy gimnazyalnej wstąpił w szeregi powstańców i przelewał krew w obronie wolności. Ciężko ranny pod Miechowem, ocalił życie cudem prawie, ale więzienia nie uniknął. Oswobodzony po kilku miesiącach, skończył gimnazyum w Tarnowie, a następnie uniwersytet we Lwowie. W życiu akademickiem brał żywy i czynny udział, był też prezesem „Czytelni akademickiej“. Po ukończeniu studyów poświęcił się adwokaturze, oddając i nadal siły swe i zdolności sprawie publicznej. Jako poseł sejmowy, jako prezes centralnego komitetu wyborczego, pracował zawsze zupełnie bezinteresownie dla idei, w myśl swych najlepszych przekonań, nie dbając wcale o własne dobro lub własny interes. Duże zasługi położył też ś. p. Tadeusz Skałkowski, jako kurator „Domu akademickiego“ we Lwowie i prezes komitetu obywatelskiego, powołanego do przeprowadzenia budowy tego domu.

To też zgon jego wywołał żal ogólny i bardzo serdeczny.



Po zwycięstwie Młodoturków: Stary most między Galatą a Stambułem.



Po zwycięstwie Młodoturków Jussuf Izzedin-efendi, turecki następca tronu.



Po zwycięstwie Młodoturków: Kawiarnia turecka w dzielnicy Stambuł w Konstantynopolu.

W uznaniu zasług.

W dniu 25 kwietnia br. odbyła się w sali Urzędu cłowego w Oświęcimiu piękna uroczystość wręczenia złotego krzyża zasługi z koroną kierownikowi sekcyi straży skarbowej w Oświęcimiu, Wiktorowi Malinowskiemu.

W uroczystości tej, oprócz urzędników i człon-

ków straży skarbowej wadowickiego i krakowskiego okręgu skarbowego, wzięły udział deputacye urzędników wszelkich dykasteryi i deputacya rady gminnej miasta Oświęcimia oraz grono pań.

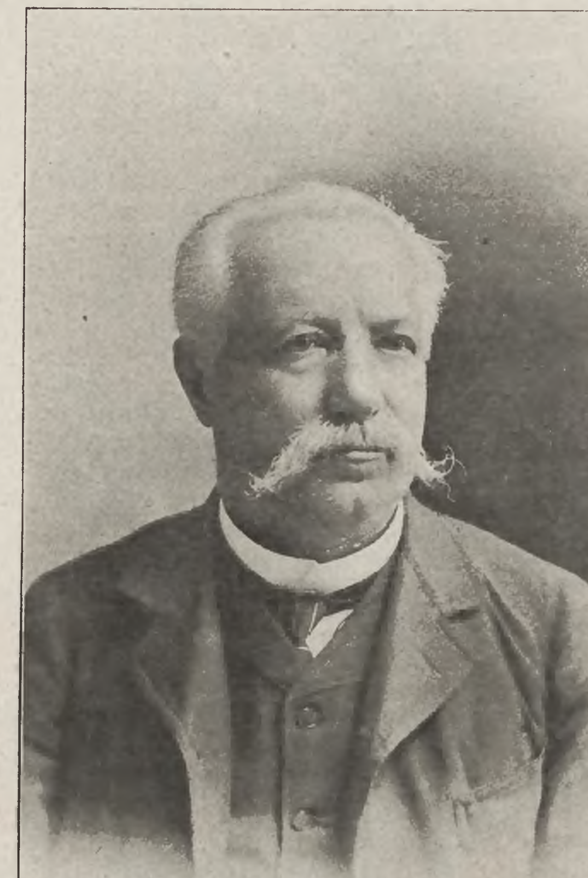
Po pięknem przemówieniu st. radcy i dyrektora okręgu skarbowego w Wadowicach, Mianowskiego, przypiął tenże solenizantowi udzielony mu przez cesarza złoty krzyż zasługi z koroną, poczem Malinowski na ręce dyrektora Mianowskiego złożył wyrazy szczerej podzięki i wdzięczności.

Odznaczenie, jakie spotkało p. Malinowskiego, przyjęli wszyscy jego podwładni oraz grono przyjaciół i znajomych z szczerem zadowoleniem, solenizant bowiem zdobył sobie charakterem czystym, uprzejmością i taktem ogólną sympatyę.

Służbie w straży skarbowej poświęcił się w r. 1884, porzuciwszy szeregi armii, w której był porucznikiem. Zdolność i gorliwość w pełnieniu obowiązków zwróciły nań uwagę przełożonych, to też szybko awansował, odznaczając się zaszczytnie na każdem stanowisku. Zwłaszcza duże zasługi położył jako kierownik szkoły straży skarbowej w Sygniówce pode Lwowem. Od r. 1899 jest kierownikiem sekcyi straży skarbowej w Oświęcimiu.



Po zwycięstwie Młodoturków: Wzięci do niewoli hodża i artylerzysta.



Zgon zasłużonego obywatela: Śp. dr. Tadeusz Skałkowski.

Powrót rezerwistów z Bośni.

Zupełne usunięcie widma wojny na południowowschodnich krańcach monarchii austryacko-węgierskiej, pozwoliło władzom wojskowym znieść stan pogotowia wojennego na pograniczu austryacko-serbskiem i rozpuścić rezerwistów, wysłanych tam z rozmaitych krajów przed kilku miesiącami. W ciągu ostatnich dni powróciło i do Galicyi kilka partyi rezerwistów.

Jeden z najliczniejszych oddziałów, bo liczący około 400 ludzi, stanął w Krakowie w piątek ubiegły rano o 5-tej. Byli to rezerwiści 13 p. p., a wrócili pod komendą kapitana R. Blaschkego.

Już na dłuższą chwilę przed przybyciem pociągu, zjawiły się na dworcu kolejowym krakowskim tłumy publiczności, przeważnie rodziny powracających rezerwistów. Prócz tego przybyła delegacya pułku z generałem Altmannem na czele i orkiestrą, oraz wielu oficerów innych pułków.

Gdy pociąg z rezerwistami stanął na peronie, ukazały się w okienkach wagonów opalone, a jaśniejące radością z powodu powrotu do stron rodzinnych i ukończenia trudów „wojennych“ twarze żołnierskie. Wnet też rozległy się radosne okrzyki powitalne, poczem żołnierze poczęli wysypywać się gromadnie na peron.

Ale „befel“ nakazywał wspólne udanie się marszem do koszar, więc nie dużo było czasu na serdeczniejsze i cieplejsze powitania. W szyku wojskowym, z orkiestrą na czele, pomaszerowali rezerwiści ul. Basztową i pl. Matejki do koszar im. Rudolfa przy ul. Warszawskiej, gdzie dopiero nastąpiło ostateczne uwolnienie ich ze służby.



W uznaniu zasług: Uczestnicy uroczystości wręczenia złotego krzyża zasługi p. Malinowskiemu w Oświęcimiu.

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

6 Romans psychiczny. Ciąg dalszy.

— Śpiewaczka włoska?

— Tak! Wkrótce potem przybył ojciec Furster do Laferriere, gdzie spędził trzy tygodnie. Składał wizyty moim kolegom, a przed odjazdem zjawił się u barona, by przedstawić sprawę małżeństwa jego córki z panem Delille.

— Ale co za cel miał ojciec Furster zajmować się tem małżeństwem?

Biedny proboszcz musiał się bardzo obawiać ojca Furstera, gdyż jeszcze bardziej zniżył głos.

— Ojciec Furster jest człowiekiem nadzwyczaj inteligentnym i niezwykłej energii. Pała chęcią wyrwania kraju naszego z rąk, które go prowadzą do niewiary. Zdaje mi się, że ojciec Furster chce popchnąć pana Delille do polityki. Małżeństwo jego z panną Franchard zapewni mu wpływy całej okolicznej arystokracyi. Ożeniony z Łucyą, której ojciec ma wielkie znaczenie i poszanowanie u miejscowych mieszkańców, będzie miał nadzieję zostania posłem.

Nie pytałem się już o nic więcej, to mi wystarczało. Ojciec Furster będzie używał wszelkich swych wpływów, by doprowadzić do skutku to małżeństwo, dzięki któremu będzie mógł wprowadzić do parlamentu swoją kreaturę.

Przechadzaliśmy się w milczeniu; chłód był dojmujący, ptaki zaczynały świergotać i lekki wiatr poruszał gałęźmi drzew, strząsając z nich szron. By się ogrzać, skierowaliśmy się do kuchni, gdzie już zaczął się codzienny ruch i kazałem sobie podać szklankę gorącego mleka. Ksiądz Jauga nie chciał przyjąć żadnego posiłku, gdyż o ósmej miał odprawić mszę św. Opuścił też mnie wkrótce, zapowiadając jeszcze swą wizytę. Ja pozostałem bez ceremonii w kuchni i grzałem się przy wielkim płomieniu, rozłożonym na kominie.

O pół do ósmej dano mi znać, że panna Franchard obudziła się: udałem się zaraz do niej i znalazłem ją zdrowszą, niż się spodziewałem; głowa jej jeszcze ciążyła, nie miała jednak żadnych objawów gorączki. Pani Franchard poszła już spocząć, byłem więc sam z młodą panną i oczekiwałem jakich wyznań, nic jednak takiego nie usłyszałem. Podziękowała mi jeszcze raz, powtarzając, iż nadzieję swoją pokłada w Matce Boskiej, lecz nie wspomniała o panu Leyre.

Odchodziłem od niej nie bez pewnego niepokoju. Panna Franchard łączyła w sobie w ciekawy sposób uległość matki z uporem ojca. Wychowanie i uczucia religijne tak pokierowały jej myślami, iż poddanie się woli ojca uważała za nieuniknioną konieczność. Mimo to jasnem było dla mnie, iż pod powierzchnią jej rezygnacyi i spokoju, kryją się głębsze uczucia, których sama jeszcze nie uświadomiła sobie.

Zajęty temi myślami spotkałem nagle pana Franchard, z którym zresztą sam chciałem się widzieć. Poprosiłem go o chwilę rozmowy, na co się zgodził zaraz, lecz jakby przewidując treść tego, co miałem mu powiedzieć, przybrał minę nadzwyczaj poważną i uroczystą. Nie był przejęty stanem zdrowia córki: szybkie wyzdrowienie chorej pozwoliło mu lekceważyć jej przypadek, a nie mógł zrozumieć, czem on grozi na przyszłość.

— Córka pana barona czuje się już daleko lepiej.

Umyślnie wymieniłem jego tytuł, by słowami swemi wywrzeć większe wrażenie.

— Wiem o tem, panie doktorze i dziękuję bardzo za starania, jakie pan okazał.

— Proszę mi pozwolić jeszcze zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, jakiem mógłby grozić wszelki przymus moralny, wywarty na pańską córkę. Temperament panny Franchard jest bardzo nerwowy, bardzo wrażliwy i uczuciowy. Sam pan baron przekonał się, jak silnie działa na nią każde wzruszenie. Obowiązek mój jako lekarza nakazuje mi zwrócić na to uwagę.

— Jestem panu doktorowi bardzo wdzięczny za troskliwość o zdrowie mej córki. Proszę być przekonanym, że przy wszelkiej decyzyi, odnoszącej się do przyszłości mej córki, słowa pańskie będą brane pod rozwagę.

Pan Franchard chciał mi zamknąć w ten sposób usta, ale się poznałem na tem i nie byłem skłonny do zaniechania swego zamiaru. W najuprzejmiejszy sposób podziękowałem mu za usłyszane zdanie; śmiać mi się chciało, tak wielkie malowało się zdziwienie na jego twarzy; miał chęć mnie trzymać w pewnej odległości od siebie, a ja udałem, że rozumiem to inaczej.

— Cenię sobie bardzo zaufanie pana barona. Wiem, jak dobrym i czułym jest pan ojcem, że słucha pan tylko swego serca. To mnie też ośmiela do wykazania pańskiej przezorności następstw, jakie mogłyby wyniknąć z samego małżeństwa.

Pan Franchard jawnie zniecierpliwiony odpowiedział mi z całą swą godnością.

— Te następstwa zostały już przezemnie przewidziane, zbadane i zważone. Mogą one być tylko korzystne dla mej córki. Niech pan będzie przekonany, że ojciec panny Franchard myśli tylko o przyszłem szczęściu swego dziecka; jeżeli uznał za stosowne powziąć jakie postanowienia, to dlatego, że dają one wszelkie zabezpieczenie pomyślności jego córki.

W rodzinach takich, jak panny Franchard, w których tradycye odgrywają ważną rolę, nie można stosować się jedynie do zadowolenia dziecinnych pragnień młodej panny. Nasze rodziny stanowią jakby jedno z ogniw siły narodu: dla dobra więc kraju należy te ogniwa łączyć i zacieśniać. Trzeba być członkiem takiej rodziny, aby można było pojąć cały rozmiar obowiązków i poświęceń, jakie na nie wkłada ich stanowisko.

— Nie mam zaszczytu tego, panie baronie, co pan — odpowiedziałem, starając się zachować przytem poważną minę — należenia do rodziny, która się wsławiła w historyi Francyi, pojmuję jednak konieczności, o których pan wspomniał i właśnie niemi kieruję się. Słowa moje miały za cel zwrócenie uwagi pana barona na starania, jakich wymaga i stan zdrowia pańskiej córki i interesa pańskiego rodu.

Spostrzegłem, że pan Franchard nie przewidział tej odpowiedzi. Odcień niepokoju zaćmił solenność jego miny.

— Przypuśćmy, że ślub już się odbył, czy nie sądzi pan, że choroba panny Franchard znowu się okaże? Mam tu na myśli bezpośrednie następstwa ślubu.

Pan Franchard zdradzał coraz większy niepokój; jego wielkie, wyłupiaste oczy zaokrągliły się, spoglądając na mnie.

— I właśnie podczas tych następstw wybuchnie atak nerwowy: panna Franchard wpadnie w stan kataleptyczny, w jakim ją widziałem wczoraj i trzeba będzie wezwać lekarza. Czy pan wie, co on powie młodemu małżonkowi? Doktór powie wtedy, panie baronie — słowa swe wymawiałem z wielkim naciskiem — że panna Franchard cierpi na ciężką histeryę.

Słowo to wzburzyło pana domu.

— Moja córka histeryczką! — wyszeptał.

— To powtórzą wszyscy lekarze. Pan Delille usłyszy od nich: „Pańska żona dotknięta jest ciężką histeryą, dla leczenia należy ją przewieźć do domu zdrowia".

Przerażenie malowało się na pomarszczonej twarzy barona Francharda. Uznałem, że już dosyć powiedziałem i podniosłem się. Baron jednak nie chciał mnie teraz puścić. Oddychając ciężko, rzekł:

— Niech pan jeszcze zostanie kilka minut, panie doktorze! Pan mnie przeraża! Łucya histeryczka! Co za skandal! Mój Boże, co za skandal!

— Ja nie mówię wprost, że panna Franchard jest histeryczką, lecz większości mych kolegów narzuci się sama ta dyagnoza.

— Czy można to wyleczyć?

— Nie można leczyć z choroby, którą nie jest dotknięta. Nie należy jej tylko stawiać w takiem położeniu, które musi sprowadzić atak nerwowy.

— Jest więc pan pewny, że po zawarciu małżeństwa powtórzą się te ataki?

— Nie mogę twierdzić tego stanowczo, uważam to tylko za bardzo prawdopodobne. Powtarzam jednak, że pańska córka jest nadzwyczaj wrażliwa i uczuciowa.

Pan Franchard zdawał się nabierać otuchy.

— Czy niema żadnego sposobu wyleczenia jej z tej wrażliwości?

— Żadnego. Może to tylko zdziałać czas, hygiena fizyczna, spokój moralny, macierzyństwo, ale macierzyństwo upragnione, a nie narzucone. To już wszystko, co uważałem za swój obowiązek zakomunikowania panu baronowi.

W kilkanaście minut potem odjeżdżałem z zamku pozostawiając pana Francharda jego myślom.

Wkrótce po przybyciu do domu otrzymałem koło południa wizytę pana Leyre. Uspokoiłem go przywiezionemi wiadomościami; ostatni sen przygotował go już do tego. Powtórzył mi rozmowę moją z panią Franchard, jakby był przy niej obecny i podał mi list pana Francharda, w którym on prosił o odesłanie różańca, za co z góry dziękował z przesadzoną uprzejmością.

— Niech pan napisze do barona, że pan mnie oddał różaniec — rzekłem mu — i niech mi go pan da, a ja odeślę go we właściwe ręce.

Pan Leyre, który okazywał mi zupełne zaufanie, wręczył mi zaraz koralowy różaniec. Owinąłem go starannie i wysłałem do księdza Jaugi, prosząc go usilnie, by oddał różaniec samej pannie Franchard.

Jak mogłem, pocieszałem swego młodego pacyenta.

— Trzeba mieć więcej odporności — mówiłem mu. Wszystko pójdzie dobrze. Nie widzę możności uniknięcia ślubu panny Franchard z panem Delille, a nawet chciałbym, by odbył się on prędzej, bo przez to zbliży się pan do swego szczęścia. Pozostawmy wypadki ich biegowi. Na razie żądać będę od pana dwóch rzeczy: niech pan pracuje po dawnemu, stara się ukończyć rozpoczęte prace, dokona jakiego wynalazku, któryby imię pana uczynił głośniejszem. Jako o drugą rzecz proszę o informowanie mnie o przebiegu dalszych snów. Codziennie rano niech pan zanotuje sobie sen z ubiegłej nocy. Będę potrzebował takiego sprawozdania dla bronienia pańskiej sprawy. Cierpliwości tylko i spokoju a wszystko załatwi się pomyślnie.

Moja pewność sobie wpłynęła dodatnio na pana Leyre. Następnego dnia otrzymałem od niego tylko mały liścik, w którym oznajmił mi, iż wraz z utratą różańca ustały i jego sny. Tegoż dnia dostałem zawiadomienie od pani Franchard, iż ślub córki został odłożony do 15 marca. Zacząłem już sądzić, że wreszcie baron przyszedł do jakiego upamiętania, gdy naraz 29 lutego ks. Jauga prosił mnie listownie, bym czekał na niego jutro wieczorem, lecz wizytę tę zachował w tajemnicy.

Wiadomość o tych odwiedzinach zadziwiła mnie a zarazem i zaniepokoiła. Z niecierpliwością też oczekiwałem jego przybycia, wstrzymując podanie obiadu: zjawił się dopiero o pół do dziewiątej, utrzymując, iż już jadł obiad.

Poprowadziłem go zaraz do swego gabinetu, gdzie po zamknięciu drzwi i zapuszczeniu rolet w oknach, zaczęliśmy rozmowę.

— Mam, panie doktorze, do zakomunikowania wiele rzeczy. Pierwsza wiadomość, iż ślub postanowiono nieodwołalnie na 15 marca. Zawdzięczać to możemy — rzekł ksiądz z westchnieniem — ojcu Furster. Obawiam się, czy troski o korzyści doczesne kościoła nie zaćmiły w nim poczucia interesów duchowych. Jego zamiary są bez wątpienia najlepsze, gdyż Bóg nie ma gorliwszego sługi...

Przerwałem zacnemu księdzu, podejrzywając, iż da się unieść i wkroczy na ulubione drogi mistyczne, a chciałem jak najprędzej poznać fakty.

— Zostawmy to na później, księże proboszczu, a przejdźmy do szczegółów.

— Dobrze, panie doktorze. W kilka dni po bytności pańskiej w Balizac, przyszła do mnie do zakrystyi panna Franchard i prosiła, by jej słowa powtórzyć panu doktorowi. Miała rozmowę z panem Delille i wyznała mu otwarcie swą niechęć do bezwłocznego ślubu: opowiedziała mu swoje sny, przyznając się szczerze, iż przekłada pana Leyre nad niego i jego chce poślubić, o ile ojciec nie uzna tego niewłaściwem. Pan Delille nie czynił wyrzutów, choć czuł się tem bardzo dotkniętym, lecz prosił ją tylko o niezrywanie zupełne, a odłożenie ślubu do połowy marca. Zgodziła się na to i sam pan Delille wymógł na baronie przystanie na tę datę. W tym czasie otrzymałem różaniec, który wręczyłem pannie Franchard.

Wszystko było spokojnie, gdy przed kilku dniami przybył ojciec Furster do Laferriere: nie wiem, co powiedział swemu pupilowi, lecz domyślam się. Pan Delille zmienił swe zachowanie i zaczął nalegać. Zdaje się, iż odbył naradę razem z baronem i ojcem Furster, wskutek której pan Franchard oznajmił córce, iż na żadną więcej zwłokę nie zgadza się. Łucya nic nie odpowiedziała i napozór poddała się woli ojca, miała jednak drugą rozmowę z swym narzeczonym: ten wydał się zakłopotanym, mówiąc o swem wielkiem uczuciu dla niej, o bezsensowności jej snów, o różnicy społecznej, jaka zachodzi między panem Leyre a córką barona Franchard. Wspomniał także i o obowiązkach względem społeczeństwa, o konieczności złączenia sił dwóch ich rodzin zachowawczych dla walczenia z niereligijnością.

Łucya, która, jak pan doktór przekonał się, jest bardzo rozwinięta umysłowo, zrozumiała skąd płyną te argumenty. Zaatakowała odważnie ojca Furstera: byłem przy ich rozmowie, nie chciałem bowiem pozostawiać jej samej w tak trudnej chwili. Ojciec Furster niestety nie tylko nie zachęcał jej do wytrwania w swem postanowieniu, lecz nawet wykazywał jej, iż sny te są sprawą szatana.

Chciałem protestować, powołując się na życiorysy świętych i opinie ojców kościoła, lecz ściągną-

łem tylko na siebie naganę, od której jeszcze drżę. Ojciec Furster rzekł mi, że jest w rozpaczy, iż nie może być jednego ze mną zdania, lecz wypadek ten poddał osądzeniu jego eminencyi, dodał także, iż ksiądz arcybiskup jest zaniepokojony mieszaniem się księży do spraw, które nie dotyczą ich powołania, że surowo osądził łączenie imienia Matki Boskiej ze sprawami świeckiemi, że zgromił mnie za samowolność i nie radzenie się starszych osób w hierarchii kościelnej i że chciał mnie za to przenieść na inne probostwo i tylko dzięki prośbom ojca Fustera zaniechał tego.

To wszystko prosiła mnie panna Franchard powtórzyć panu doktorowi i dodać, że mimo wszystko zachowa swą ufność w Matkę Boską.

Podziękowałem księdzu proboszczowi, przyrzekając mu zachować to wszystko w tajemnicy.

Miałem więc do walczenia z zakonnikami! Uważałem za bezużyteczne odwoływanie się osobiste do ojca Furstera, wiedziałem bowiem, iż nic go z powziętej drogi nie cofnie. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko poddać się i oczekiwać cierpliwie.

Jedna tylko rzecz mnie pocieszyła. Spotkałem profesora Durieux, który dużo dobrego powiedział mi o swym uczniu ukochanym. Pan Leyre prowadził dalej swe poszukiwania chemiczne nad kwasem siarczanym i chociaż nic jeszcze stanowczego nie wykrył, jednakże wynaleziony przez niego uproszczony sposób dokonywania analizy przyniósł mu już wielkie zyski. Towarzystwo akcyjne, o którem mi wspominał z powodu jednego z swych snów, kupiło od niego ten wynalazek za znaczną sumę i za pośrednictwem profesora Durieux układało się z nim o przyszłe jego odkrycia.

O ile wiadomość ta, dotycząca mego młodego pacyenta ucieszyła mnie, o tyle trwożyłem się, jak spędzi dzień ślubu. Na piętnastego też marca zaprosiłem go do siebie na śniadanie. Wbrew memu oczekiwaniu pan Leyre przybył prawie radosny. Zrozumiałem jego stan, gdy mi pokazał małe pudełeczko, w którem znajdował się koralowy różaniec i kawałek papieru z temi słowami: „Na wierność pamięci. *Łucya*". Był też skutkiem tego pełen nadziei, rozmowniejszy niż zwykle, pił i jadł chętnie, tak iż po śniadaniu zdrzemnął się w fotelu. Nie jedną spędził noc bezsenną, biedny młodzieniec; zamknąłem, by mu nie przeszkadzać, drzwi od gabinetu i zostawiłem go we śnie aż do siódmej godziny wieczorem. Zauważyłem, że przybrał ten trupi wyraz, jaki obserwowałem u panny Franchard i sądząc, że przebywa teraz swą duszą w zamku Balizac, oczekiwałem niecierpliwie na jego obudzenie się. W istocie, ledwie ocknął się, zawołał:

— Panie doktorze, widziałem ją! Chociaż ona nie spała, widziała mnie także i mówiła ze mną.

— Co panu powiedziała?

— Że ślub się odbył, lecz mimo to trzeba zachować nadzieję. Pojechali o czwartej godzinie do Hiszpanii.

Przez ośm dni następnych nie miałem żadnej wiadomości o panu Leyre. Nie lękałem się o niego, lecz spokój nie długo trwał. Jak grom z nieba spadła nieprzewidziana katastrofa.

III.

Dwudziestego czwartego marca rano przybiegł do mnie Durieux zadyszany, mówiąc, iż uczeń jego jest ciężko ranny; sądzono, że popełnił zamach samobójczy. Więcej wzruszony, niż mógłbym to wyrazić, wskoczyłem w pantoflach tylko i marynarce do dorożki, zabierając z sobą kasetkę z przyrządami opatrunkowymi. Gdym wszedł do pokoju pana Leyre, zastałem matkę jego na kolanach przy łóżku, całą we łzach; syn jej leżał blady jak wosk; prześcieradła i koszula powalane były krwią, płynącą z szerokiej rany w piersiach. Był bez przytomności.

Durieux poprzednio już kazał przygotować wody sterylizowanej, waty, karbolu. Drżąc, obmywałem ranę, zadaną pod lewym obojczykiem, w okolicy dość niebezpiecznej z powodu znajdujących się tam naczyń i żył. Stwierdziłem przytem, iż była ona uczyniona nożem lub sztyletem na ukos i przecięła kilka odgałęzień arteryi piersiowej, wywołując obfity krwotok, nie była jednak bardzo niebezpieczną. Uspokoiłem też zaraz panią Leyre i profesora Durieux, a dla większej pewności poprosiłem profesora Villeneuve, najsławniejszego naszego chirurga, który potwierdził mą dyagnozę.

— Kto ranił tego młodego człowieka? — zapytał.

— Zapewne sam siebie — odpowiedziałem.

— Co to, to nie — rzekł Villeneuve. — Jeżeli cios zadany byłby ręką rannego, rana nie mogłaby mieć tego skośnego i zewnętrznego kierunku. Cios ten musiała wymierzyć inna osoba; stała ona z przodu po prawej stronie ofiary.

— To niemożebne, proszę pana — odrzekła pani Leyre. — Syn mój położył się wczoraj o dziewiątej godzinie i nie opuszczał swego pokoju; nikt nie mógł wejść do mieszkania, które sama zamknęłam starannie. Rano, gdym otwierała pokojówce, zasuwki były jeszcze zasunięte.

— Nie mogę jednak, proszę pani, nic innego po-



Gdym wszedł do pokoju pana Leyre, zastałem matkę jego na kolanach przy łóżku.

wiedzieć, jak tylko to, że rana ta została zadana przez inną osobę — odpowiedział Villeneuve.

Istotnie, rozumowanie Villeneuve'a było zupełnie słuszne. Jeżeli Leyre wymierzyłby sobie ten cios sam, kierunek rany musiałby być pionowy lub skośny z góry na dół, chyba, że przedtem wystudyował starannie swój ruch, by przypisać zamach na siebie komu innemu.

— Gdzie jest nóż? — zapytał Villeneuve.

— Nigdzie go nie znaleziono — rzekła pani Leyre.

— To dziwne — zauważył chirurg, robiąc opatrunek. — Poślij — zwrócił się do mnie — po litr serum do wstrzykiwania; narazie zrobię nakłucia eterem i kofeiną.

W pół godziny potem dokonano wstrzykiwania; ranny otworzył oczy, lecz nie dał żadnego znaku przytomności, nie odpowiadał na zadawane pytania; znajdował się w stanie zupełnego odrętwienia, którego nie mogliśmy sobie wytłomaczyć.

— Musimy zaczekać — odezwał się Villeneuve — aż pan Leyre będzie mógł sam to wyjaśnić, narazie niech spoczywa w najzupełniejszym spokoju, nie należy go niczem nużyć.

Przeszliśmy do drugiego pokoju, pozostawiając rannego z matką. Villeneuve uspokajał nas jeszcze: nie grozi żadne niebezpieczeństwo, niepokojącem jest tylko obezwładnienie i upływ krwi.

— Dziwi mnie tylko, iż nie utworzył się skrzep i krew pozostawała długo w stanie płynnym. Czy on jest bardzo krwistym?

— Nie — rzekł Durieux. — Nieraz zakrajał się w laboratoryum, lecz zawsze ranka zaraz zasychała.

— To ciekawe. Zastanawia mnie trochę to krwawienie. Lecz co za dyabeł go ranił? Jeżeli matka jego nie myli się, musiał wrócić już ranny, lecz w takim razie pozostawiłby znowu wszędzie ślady krwi. Należy przypuszczać, iż zabójca wtargnął do jego pokoju bez wiedzy matki. Może to była zazdrosna kochanka?

— Nie — zaprzeczył Durieux. — Leyre nie ma kochanek.

— Skąd można mieć pewność — podtrzymywał swą myśl Villeneuve, o którym nieraz kursowały wesołe historyjki. — Kobieta zazdrosna nosi zawsze dyabła w sobie.

Mieliśmy już wychodzić, gdy naraz zadzwoniono do drzwi i po chwili wpadła zmieszana służąca.

— Proszę pana — zwróciła się do Durieux — komisarz policyi!

— Brakowało tylko tego! Pozostańcie jeszcze — prosił nas Durieux — nie chcę sam być z komisarzem.

Ten ukazał się zaraz w towarzystwie dwóch ajentów.

— Proszę wybaczyć moją wizytę, lecz cała dzielnica jest wzburzona. Mówią, że pan Leyre został zamordowany lub sam się zabił. W tym, czy tamtym wypadku muszę przystąpić do śledztwa.

Villeneuve poinformował komisarza, o tem cośmy wiedzieli; Durieux i ja potwierdziliśmy jego słowa. Badane były również pani Leyre i służąca.

— I co pan komisarz sądzi o tem wszystkiem? — zapytał mój kolega.

— Mogę odpowiedzieć dopiero, gdy obejrzę pokój rannego. Czy można go przenieść do drugiego łóżka?

— To można zrobić — odrzekł chirurg.

— Czy pozwoli pani dokonać poszukiwania w całem mieszkaniu?

— Proszę bardzo.

Komisarz w towarzystwie obu ajentów przejrzał szczegółowo cały apartament, składający się z dwóch pokoików sypialnych, małego gabinetu, jadalnego, przedpokoju i kuchni, nigdzie nie zauważono najmniejszego śladu włamania, ani też nie znaleziono narzędzia zbrodni. Komisarz był zakłopotany.

— I cóż? — zapytał Villeneuve — jakież jest pańskie zdanie?

— Usiłowane samobójstwo.

— To niemożliwe — zaprzeczył chirurg. — Pan Leyre nie mógł zadać sobie tej rany.

— Jednakże stwierdziliśmy, że nikt nie mógł wejść do mieszkania. Czyżby pani Leyre?

— Niedopuszczalne przypuszczenie! — zawołał Durieux.

— I ja tak sądzę. Muszę zawiadomić prokuratorę. Jest to sprawa bardzo, bardzo ciemna — powtarzał urzędnik policyi, żegnając się z nami.

— Za nim poszedł i Villeneuve, który miał operację na klinice.

Durieux był bardzo przejęty.

— Nie można dopuścić, by w sprawę tę wmieszała się policya — odezwał się do mnie.

— Zobaczę się z prokuratorem i będę się starał przekonać go, że zaszedł tylko niewytłomaczony wypadek. Zresztą inaczej nie można tego nazwać. Policya dokonała oględzin i dla sądu nie pozostaje nic.

— Takie jest i moje zdanie.

Odwiedziliśmy jeszcze Leyre'a, lecz ponieważ obecność nasza była już zbyteczna, wyszliśmy zaraz.

Przez cały dzień byłem bardzo roztargniony, myśląc ciągle o tym wypadku. Pomimo całej ufności w wiedzę swego kolegi, przypuszczałem ciągle zamach samobójczy. Lecz dlaczego czekał aż ośm dni? Jeżeli miał zamiar pozbawić się życia, to winien był uczynić to w takim razie w dzień ślubu panny Franchard.

Wśród tych rozmyślań wezwano mnie popołudniu koło godziny piątej do telefonu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poświęcenie sztandaru II-giej szkoły realnej w Krakowie.

Zwyczaj, coraz więcej się rozpowszechniający, zaprowadzania po szkołach średnich własnych sztandarów, zasługuje na gorące poparcie. Młodzież bowiem, uczęszczająca do danego zakładu, słusznie upatruje w sztandarze symbol swej godności, o której utrzymanie starać się winna w szkole i po za szkołą, oraz symbol ducha jedności, jaki powinien ożywiać uczniów tego samego zakładu naukowego.

W ubiegłą niedzielę, dnia 2-go b. m., odbyła się właśnie sympatyczna nader uroczystość poświęcenia sztandaru II-giej szkoły realnej. Tegoż dnia rano przybyły do gmachu tejże szkoły przy ul. Granicznej delegacye od innych krakowskich szkół średnich ze sztandarami, a między niemi także dwie z własnemi orkiestrami. Delegacye te, za któremi postępowała w ordynku wojskowym II-ga szkoła realna pod wodzą swego „pułkownika“ Wiktora Pietronia, ucznia klasy VI-tej, udały się do kościoła św. Anny. Tam katecheta, ks. dr. Adam Podwin, poświęcił nowy sztandar, poczem wygłosił do zebranej młodzieży podniosłą przemowę o moralnem znaczeniu sztandaru. Następnie odbyło się wbijanie gwoździ w drzewce sztandaru. Pierwszy gwóźdź wbił w imieniu inspektora szkół realnych, radcy dworu Frankego, dyrektor Jan Bidziński.

Po mszy, w czasie której chór uczniowski śpiewał mszę A-moll Grubera, zgromadzeni opuścili kościół, a orkiestra III-go gimnazyum zagrała hymn „Jeszcze Polska nie zginęła“ w chwili, gdy świeżo poświęcony sztandar wynoszono ze świątyni.

Na rogu ulicy św. Anny i Rynku ustawiła się starszyzna i zaproszeni na uroczystość goście, przed nimi zaś przedefilowała dziarsko młodzież II-ej szkoły realnej.

Następnie młodzież ta, pragnąc dać wyraz swoim uczuciom, pomaszerowała przed mieszkania dyrektora Bidzińskiego, prof. Jaworskiego, prof. Kołomłockiego i ks. dra Podwina. Przed każdem zaś z nich towarzysząca młodzieży orkiestra odegrała odpowiedni utwór muzyczny.

Nadmienić wypada, że bardzo piękny sztandar, sprawiony w krótkim czasie ze składek młodzieży II-giej szkoły realnej, wykonany został w zakładzie p. Krygowskiej wedle projektu prof. Tadeusza Kołomłockiego. Przyczynił się zaś wielce do wprowadzenia w czyn zamiaru młodzieży posiadania własnego sztandaru, ukochany przez nią prof. Aleksander Jaworski.



Z żołnierza - śpiewakiem: Kapitan - audytor Antoni Schramek, który z powodzeniem debiutował w operze wiedeńskiej.

Odznaczenie zasłużonych kolejarzy.

Ciężką i odpowiedzialną jest praca kolejarzy, którzy dla dobra społeczeństwa narażając swe zdrowie i życie, wzamian zato bardzo rzadko uzyskują nagrodę lub choćby należne uznanie. To też z przyjemnością zaznaczyć należy, że dzięki staraniom obecnego dyrektora kolei w Krakowie, radcy dworu Horoszkiewicza, odznaczył cesarz najzasłużeńszych z pomiędzy urzędników, podurzędników i służby kolejowej krakowskiego okręgu. Owa moralna nagroda za trudy i gorliwą pracę jest zarazem zachętą dla kolegów odznaczonych, by starali się wstępować w ich ślady.

Piękna uroczystość wręczenia odznaczeń odbyła się w Krakowie w dniu 2 maja br. w gustownie przystrojonej sali posiedzeń dyrekcyi kolejowej. Prócz dyrektora, radcy dworu Horoszkiewicza, obu jego zastępców, radców rządu Zborowskiego i Soleckiego i odznaczonych, zebrali się naczelnicy wszystkich oddziałów krakowskiej dyrekcyi, liczne grona funkcyonaryuszy kolejowych wszelkich kategoryi, tudzież rodziny odznaczonych. Po podniosłem przemówieniu, zakończonem okrzykiem na cześć cesarza, przypiął radca dworu Horoszkiewicz order Franciszka Józefa starszemu inspektorowi Walentemu Adamskiemu naczelnikowi oddziału konserwacyi, złoty krzyż zasługi z koroną inspektorowi Józefowi Kossowskiemu, naczelnikowi stacyi w Nowym Sączu, srebrny krzyż zasługi z koroną kierownikowi stacyi w Grzegórzkach M. Fąfrowiczowi, starszemu konduktorowi K. Kramerowi i maszyniście A. Zemli, takiż bez korony przesuwaczowi wozów J. Jedzinakowi i portyerowi J. Niechajowi. Nadto wręczył dyrektor dekret nominacyjny na radcę cesarskiego inspektorowi Antoniemu Fredro Bonieckiemu, naczelnikowi oddziału dla spraw osobistych w krakowskiej dyrekcyi. W imieniu odznaczonych przemówił starszy inspektor Adamski, dziękując za słowa uznania i troskliwą opiekę, jaką dyrektor otacza podwładnych, a której jawnym dowodem jest uzyskanie otrzymanych właśnie odznaczeń. Prosił również, by radca Horoszkiewicz zechciał u stóp tronu złożyć podziękę odznaczonych.

Dla upamiętnienia tej podniosłej chwili dokonał fotograf *Nowości Illustrowanych* zdjęcia grupy urzędników dyrekcyi, odznaczonych i ich kolegów, którą w niniejszym numerze podajemy.



Poświęcenie sztandaru II-iej Szkoły realnej w Krakowie: Nowo poświęcony sztandar w otoczeniu uczniów II-iej Szkoły realnej.

Kronika tygodniowa.

(Zawiódł nas piękny maj! — Pierwsze dni maja w Krakowie. — Excell. Biliński o kamienicznikach, ja o piekarzach. — Kłopoty finansowe Austryi. — Los ministra skarbu a sułtana. — Z tajników światowej polityki. — Zwycięstwo Młodoturków w Krakowie. — Podział Galicyi. — Moje skrupuły).

Miesiąc maj, z takiem upragnieniem oczekiwany przez poetów i amatorów kurcząt z sałatą, nadszedł wreszcie, ale już w samym początku zawiódł pokładane w nim nadzieje. Zamiast pięknej pogody od kilku dni pada deszcz, a temperatura tak opadła, że kto posiada jeszcze paltot, naciąga go pospiesznie i z dumą a złośliwością spogląda na śmiertelników, którzy albo go wcale nie posiadają, albo pewni, że wiosna już w całej pełni, gdzieś go bezpiecznie ulokowali. O kurczętach młodych i mowy niema, sałatę sprzedają na wagę złota, piękny maj nie budzi też i natchnienia, gdyż wszędzie tylko błoto i błoto!

W dniu pierwszego maja obudziły nas orkiestry wojskowe, które na rozkaz posła Daszyńskiego odegrały po mieście pobudkę. Uświadomieni towarzysze, przystrojeni w czerwone kokardy lub przynajmniej z czerwonym gwoździkiem w butonierze, pospieszyli do Ujeżdżalni, gdzie odbyło się doroczne zgromadzenie, mające zbawić świat w duchu zasad międzynarodówki. Pogoda dopisała wspaniale, więc też i napływ towarzyszy, towarzyszek i ciekawych był stosunkowo liczny, zwłaszcza, że święto proletaryatu zeszło się z galicyjskiem świętem narodowem, tj. szabasem. Było może trochę za chłodno, chwaliła sobie jednak temperaturę policya, gdyż chłód powietrza wpłynął bardzo dodatnio na ostudzenie nadmiernego zapału wiecujących. Popołudniu odbył się festyn w parku Jordana, wieczorem bardzo ożywione zebrania we wszystkich krakowskich knajpkach, nastrój bowiem był bardzo podniosły, ze względu na tak zwany po galicyjsku „geldtag“.

I drugi maja był świętem proletaryatu, gdyż jak sfery miarodajne socyalnej demokracyi orzekły, w dniu tym towarzysze i towarzyszki rozeszli się po całem mieście, by zbierać prenumeratę na organ partyjny *Naprzód*. Widocznie fundusz prasowy musi być bardzo chudy, jeśli się trzeba uciekać do tak nieprzyjemnego dla obu stron środka, jakim jest przymusowe wygniatanie prenumeraty. I dla popierających cele partyi i dla nagabywanych przez nich jest to bardzo niemiłem, kto bowiem ma ochotę, ten zaprenumeruje czasopismo i bez zewnętrznej presyi. Dla uświetnienia tego dnia spadł sobie wieczorem deszczyk i od tego czasu (piszę to we wtorek) nie opuszcza nas ani na chwilę, ku wielkiej radości fabrykantów i sprzedających kalosze i parasole.

To było także powodem, że w Krakowie obchód 3 maja zupełnie się nie udał, co znowu uradowało bardzo socyalistów, którzy są stanowczo przekonani, że szanse międzynarodówki nawet w niebiesiech się poprawiły, skoro pogoda im dopisała, a zawiodła urządzających obchód narodowy.

Nic w tem dziwnego, taki już nasz los, że nadzieje ciągle nas zawodzą! U nas w Austryi nie zawodzi jedynie obietnica ministra finansów, że w tym a tym czasie podniesie podatki. I teraz mamy to samo. Excellencya Biliński, o czem już zresztą w poprzedniej kronice mimochodem wspomniałem, zabrał się do wynalezienia nowych źródeł dochodu dla skarbu państwowego. Tym razem przyszła kolej na finanse krajowe. Pod pozorem ich sanacyi pan minister urządził poważny zamach na kieszenie c. k. podatników. Krajowi zabiera się na rzecz rządu podatek od piwa, podwyższa się podatek od wódki, natomiast z funduszów państwowych kapnie tam coś krajowi, który nie będzie już mógł narzekać, że rząd mu nie sprzyja. Jedno tylko mi się w całej owej sprawie podobało, mianowicie, jak pan minister zna naszych kamieniczników. Przypuszczam nawet, że kto wie, czy przypadkiem i sam nie jest właścicielem kilku kamienic. Gdy w parlamencie doradzano, by zniżono podatki domowe, co wpłynie na potanienie mieszkań, pan minister oświadczył, zupełnie otwarcie, że gdyby nawet to nastąpiło, jest przekonany, iż żaden z kamieniczników ceny mieszkań nie zniży. Naprędce urządziłem ankietę znajomych kamieniczników w Krakowie i dowiedziałem się, że minister przemawiał, jak gdyby był przez nich do tego upoważnionym.

Zupełnie podobnie rzecz się ma z naszymi piekarzami. Po wiecu, jaki się odbył w Przemyślu w dniach 19 i 20 kwietnia, tak wzruszyli się piekarze niedolą zjadaczy swych wyrobów, że postanowili wysłać do Wiednia deputacyę, która prosiła o opust lub zniżenie cła wchodowego dla zboża, sprowadzanego w granice państwa, aby oni mogli skutkiem tego piec większe bułki. Ministrowie i posłowie obiecali poprzeć ich żądania, ja jestem jednak co do piekarzy tego samego zdania, co excellencya Biliński co do kamieniczników i gotów jestem założyć się nawet o koronę (austryacką, nie niebieską), że choć zboże potanieje, bułeczki, gdyż tak je trzeba skromnie nazywać, wcale nie powiększą swych objętości, chyba, że może kto wynajdzie sposób na wydmuchiwanie ich wnętrza, jak to dawniej umiano robić z cielęciną.

I tak więc źle i tak nie dobrze, a trudno się spodziewać, aby było lepiej. Państwo wymaga coraz większych [illegible]hodów, w miarę zaś zwiększania się podatków. [illegible]iększa się i podnosi cena wszystkich produktów [illegible] rząd wytęża swą fantazyę, coby jeszcze opodatkować. Teraz myślą o piwie, wódce i zapałkach, co oburza poważnych obywateli, lubiących co wieczór wysączyć kilka bombek i wypalić kilka cygar, do czego znów potrzebne zapałki. To przecież wyraźny zamach na ich kieszenie! Rządowi potrzeba gotówki, gdyż zbliża się termin płatności odszkodowania Turkom za Bośnię, a tu kasy puste, pogotowie wojskowe na granicy południowej monarchii także wymaga dużo wysiłków finansowych, a najgorsza perspektywa dla kieszeni podatników, to okoliczność, że Austrya zaraziła się od Niemiec morską chorobą i pragnie wybudować odrazu cztery kolosalnych rozmiarów pancerniki, aby naprawić swą kiepską pod względem flotowym reputacyę. Nie chciałbym swoją drogą być w skórze ministra finansów (choć pensyę jego przyjąłbym z przyjemnością). Na niego wołają: dawaj grosze! A on musi myśleć, skąd wziąć. Jeśli wymyśli nowy podatek, besztają go posłowie, prasa, wogóle całe opodatkowane społeczeństwo, nie wymyśli zaś, powiadają wtedy „sfery miarodajne“: Niedołęga! Co nam po takim! I tak więc źle i tak nie dobrze. Ministra finansów można więc słusznie porównać z człowiekiem, który siedzi na dwu krzesłach, ale oba są dziurawe, nie wpadnie w jedną dziurę, to z pewnością w drugą!

Los jego, to jakby odzwierciedlenie losu sułtana tureckiego. Dał konstytucyę, gniewają się Staroturcy, chciał ją cofnąć, by ich zadowolnić, pogniewali się Młodoturcy, cóż więc robić... zamknął się w haremie, ale i stamtąd go wykurzyli i przewieźli do Salonik, gdzie będzie mógł w spokoju rozmyślać o minionej przeszłości i o trzydziestotrzechletnich trudach panowania. Przy tej sposobności zajaśniała w całej pełni jedna z cnót niewieścich, to jest wierność. Choć biedny Abdulek stracił znaczenie i majątek, a nie wiele brakowało, aby pozbył się i głowy, jedenaście dam haremowych podzieliło jego los i podążyło za nim na wygnanie. Głowę mu zostawiono, aby jako wierny syn Mahometa miał na czem nosić fez...

Obecnie zastanawiają się polityce, co się stanie z sułtanem, czy będzie postawiony pod sąd wojenny, czy nie, czy zostanie w Salonikach, czy też uda mu się czmychnąć za granicę. To jedno jest pewne, iż w Turcyi zwolennicy konstytucyi, tj. stronnictwo młodotureckie, wzięli stanowczo górę, a nowy sułtan stosuje się ściśle do ich woli, gdyż przez kilkunastoletnią niewolę stracił zupełnie samodzielność, a nigdy nie odznaczał się wielką inteligencyą. Podnoszą się także głosy, że i teraz nie jest wykluczoną zmiana osoby sułtana i lada chwila można się z tamtej strony spodziewać jakiejś niespodzianki. Młodoturcy zbierają dowody winy byłego sułtana, aby mieć je na poparcie jego detronizacyi i rozgłaszają w prasie sobie oddanej, że sułtan na dzień spodziewanego ustąpienia pod przymusem z tronu, przygotował w kilkunastu miejscowościach swego państwa rzeź chrześcijan, aby w ten sposób spowodować interwencyę mocarstw europejskich, przy których pomocy sądził, że się utrzyma przy władzy. Młodoturcy energicznem swem wystąpieniem nie dopuścili do tego, a mając oddaną sobie większą część armii, bez wielkiego rozlewu krwi przeprowadzili sanacyę miejscowych stosunków daleko prędzej i skuteczniej, niż się to może udać excellencyi Bilińskiemu z finansami królestw i krajów w Radzie państwa reprezentowanych.

Nowy sułtan, Mahomet V, ogłosił już orędzie do narodu, tak zwane „hatti humajun“, w którem obwieścił światu swe polityczne *credo* i zamiary na przyszłość, manifestując swe sympatye dla ruchu wolnościowego i Młodoturków. Równocześnie stanął u steru rządów nowy gabinet pod przewodnictwem wielkiego wezyra Tewfika-baszy, do którego weszli prawie wszyscy dotychczasowi ministrowie, prócz ministra spraw zagranicznych, marynarki, no i zabitego ministra sprawiedliwości.

W prasie europejskiej poczęły się sporadycznie pojawiać luźne wzmianki o proponowanym przez mocarstwa podziale Turcyi, nie znalazły jednak potwierdzenia, choć nie ulega żadnej kwestyi, że w Europie znalazłoby się wielu bardzo amatorów na spuściznę po Abdul-Hamidzie, czyto z dobrodziejstwem, czy bez dobrodziejstwa inwentarza. Jednym z pierwszych i najskłonniejszych do pertraktacyi spadkowej byłby naturalnie cesarz Wilhelm, który oświadczył, że tym kąskiem nie udławiłby się wcale. Sprawa turecka będzie niezawodnie rozpatrywaną na zjazdach monarchów, np. w Bajach, w czasie odwiedzin Wilhelma w Wiedniu i innych możliwych. Następca tronu niemieckiego w czasie pobytu w Wiedniu polityki nie poruszał, chciał tylko zaprezentować u dworu wiedeńskiego nowe spinki swego wynalazku, które mają być podobno od Nowego Roku zaprowadzone w armii austryackiej.

Wobec takiej sytuacyi nad Bosforem, która w tamtą stronę skierowała uwagę całego świata, nic dziwnego, że gorączkowo pracowały druty telegraficzne, pióra i nożyce dziennikarskie. Zapomniano zupełnie o operetkowych występach Jerzego serbskiego, który zupełnie zamilkł i zeszedł z horyzontu. Sprawa serbska przypomina się w Austryi chyba z okazyi dyskusyi w parlamencie nad wpuszczeniem serbskich świń w granice państwa, inne rządy o tyle się Serbią interesują o ile ulokowały tam jakiś zapas gotówki. Król Piotr wybiera się w podróż do Petersburga, ponieważ jednak brakuje mu gotówki, czeka, aż Austrya rozpocznie i ukończy budowę owej kolei, na której w myśl danej przez rząd austryacki obietnicy, towary serbskie przewozić się będzie po zniżonych cenach. Najlepiej na całym bałkańskim kramie wyszedł Ferdynand bułgarski, który jest obecnie królem, uznanym przez wszystkie mocarstwa.

Dobry przykład konstantynopolitańskich Młodoturków podziałał i na krakowskich Młodoturków, będących członkami krakowskiego Towarzystwa strzeleckiego. Jest to wprawdzie Towarzystwo bardzo głośne, dzięki strzałom karabinowym i moździerzowym, rozlegającym się z resztek byłego ogrodu Strzeleckiego, posiada bardzo piękny majątek i króla, który był dotąd zwolennikiem polityki staroturecki ej, zbyt jednak mało, jak dotąd i na tak pomyślne warunki dawało znaków życia. Przy obecnych wyborach supremacya strzeleckich staroturków została złamaną, a do wydziału weszli przedstawiciele młodszej generacyi, którzy w miłej zgodzie z resztą dawniejszego antoramentu rozruszają zapewne krakowską Strzelnicę. O ile wiem, to siostrzyca jej we Lwowie jest potężną organizacyą mieszczańską, wodzącą rej w Radzie miejskiej, a król lwowski ma daleko większe znaczenie, niż jego kolega serbski lub bułgarski.

Jeśli krakowska Strzelnica wybierze sobie obecnie również potężnego władcę, jednym zamachem rozwiąże się problem podziału Galicyi na wschodnią i zachodnią, jak tego pragną bracia Ukraińcy. Nie będzie także trzeba dzielić ministra dla Galicyi na dwie części, wschodnią i zachodnią, tylko poprostu rządy nad jedną połową obejmie król lwowski, nad drugą jego kolega z Krakowa. Zadowoli się zapewne w ten sposób i posła Lewickiego, który z wnioskiem o podział ministerstwa galicyjskiego wystąpił w austryackiej Radzie państwa i pójdzie się w myśl starej metternichowskiej dewizy: *divide et impera!*

Takie to ruch młodoturecki nad Bosforem miał następstwa i w naszej spokojnej, a lojalnej Galilei, która ze Staroturkami ma to wspólne, iż lubi strzelać na wiwat, jak to miało miejsce w Konstantynopolu po zwycięstwie chwilowem reakcyi, w gruncie jednak rzeczy sympatyzuje z Młodoturkami, zwłaszcza odkąd Envera-beja ogłoszono Polakiem. I ja sam, gdyby nie stare lata, byłbym się wybrał do Ildiz-kiosku. Nie chodziło mi tyle o harem jego sułtańskiej mości, o którym nawet nie myślę, ze względu na pamięć mojej nieboszczki żony, ile o owe skarby, jakie tam miały być ukryte, a które byłyby się bardzo przyczyniły do sanacyi moich własnych finansów. Dzisiaj, gdy Węgrzy żądają własnego banku narodowego, gdy w Bośni chcą założyć Bank agrarny (oparty na kapitałach węgierskich), gdy austryacki minister kuruje skarb państwowy, niestety kosztem naszego okocimskiego pragnienia, cóż dziwnego, że i ja, zwykły śmiertelnik wyciągam ręce i wzdycham do onego niedoścignionego niestety ideału, jakim jest pełny pugilares.

X.

Śmierć inspektora szpitali krajowych.

W sobotę 1 maja złożono na wieczny spoczynek na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie zwłoki ś. p. dr. Józefa Łuszczkiewicza, krajowego inspektora szpitali.

Ś. p. Józef spędził młode lata w Krakowie, był synem profesora krakowskiej Szkoły sztuk pięknych i dyrektora Muzeum Narodowego ś. p. Władysława Łuszczkiewicza. W r. 1880 ukończył gimnazyum św. Anny i zapisał się na wydział lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jako akademik należał do obozu młodzieży postępowej i żywy brał udział w życiu narodowem i politycznem. W tym czasie wstąpił do redakcyi *Nowej Reformy* i pracami swemi dał się poznać, jako bardzo zdolny publicysta. Był też korespondentem warszawskich pism *Prawdy* i *Przeglądu tygodniowego*. Napisał powieść „Dobry chłopiec“, którą krakowska prokuratorya skonfiskowała. Zdobywszy patent lekarski, wstąpił do szpitala św. Łazarza w Krakowie jako sekundaryusz. W r. 1887 został dyrektorem szpitala krajowego w Sokalu i był nim aż do r. 1906. Mianowany w tym roku inspektorem szpitali krajowych, pełnił te obowiązki przez jeden rok z wielkim pożytkiem dla szpitalnictwa.

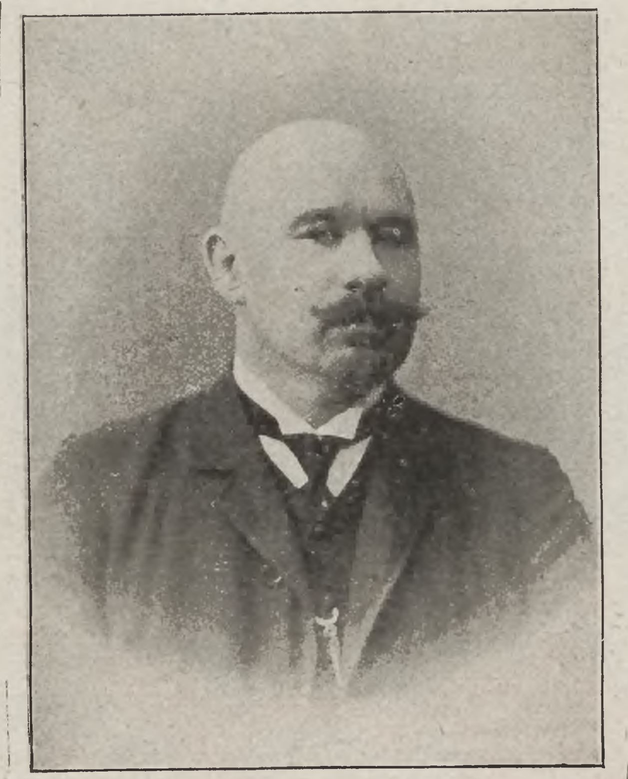
Ciężka choroba oderwała go od pracy zawodowej i rzuciła na łoże boleści, z którego już, niestety, nie powstał.

Zgon śp. Łuszczkiewicza przyniósł wielką stratę naszemu społeczeństwu. Jego rozległa wiedza fachowa, połączona z wszechstronnem wykształceniem, dużo, bardzo dużo mogła jeszcze zdziałać w dziedzinie medycyny i dla cierpiącej ludzkości.

Z żołnierza-śpiewakiem.

Dziwnie się nieraz układają losy człowieka! W młodości, czyto z własnej ochoty i powołania, czy też pod wpływem porady doświadczeńszych, obiera człowiek pewien kierunek i pracuje uczciwie i usilnie na kawałek chleba i pożytek społeczeństwa. Nieraz jednak w późniejszych latach, już jako człowiek na stanowisku, zmienia się dotychczasowy zawód, gdy się poczuło, że właściwie powołanie w inną stronę nas prowadzi. Jeśliby się nie poszło za jego głosem łatwo przyjść może zniechęcenie i rozgoryczenie, które tylu ludzi już unieszczęśliwiło! Zupełnie podobnie ma się rzecz ze sztuką. Niejednokrotnie zdarzało się i zdarza, że człowiek, poczuwszy w sobie tę iskrę Bożą, porzuca dotychczasowy praktyczny zawód a poświęca się karyerze artystycznej, którą całem sercem umiłował, do której czuje zapał i w niej widzi cel swój i przyszłość.

Takie losy przechodził austryacki kapitan-audytor Antoni Schramek, który w ubiegłym tygodniu



Śmierć inspektora szpitali krajowych: Śp. dr. Józef Łuszczkiewicz.

pod artystycznym pseudonimem „Kirchner“ debiutował na scenie wiedeńskiej nadwornej opery. Pan Schramek śpiewał partyę Kawalera des Grieux w operze Masseneta „Manon“, a okazał tak wspaniały głos i znakomite wyszkolenie, iż dyrekcya opery poczyniła natychmiast kroki, aby go na stałe zaangażować w poczet swych artystów, skoro tylko uwolniony zostanie ze związku armii, o co debiutant poczynił już starania. W p. Schramku opera nadworna wiedeńska pozyska znakomitą siłę, a on sam znajdzie sposobność spożytkowania swych zdolności. Nowa karyera, jaka się przed artystą otwiera, prócz wewnętrznego zadowolenia, że dopiął upragnionego celu, przysporzy mu zapewne więcej laurów, niż cicha a żmudna praca biurowa w charakterze wojskowego audytora.

W bieżącym numerze podajemy portret p. Schramka, który mundur wojskowy już wkrótce zmieni na kostyum któregoś z bohaterów operowych.

Ofiara „Czarnej ręki“.

(Do illustracyi na str. 4.)

Prawdziwą plagą dla emigrantów włoskich w Stanach Zjednoczonych jest zbrodnicze stowarzyszenie „Mano nera“ (czarna ręka), które ich teroryzuje i wyzyskuje dla swoich rozbójniczych celów. Pomimo nadzwyczajnych wysiłków policyi amerykańskiej, nie udało się dotąd wytępić członków tego stowarzyszenia, którego siedzibą główną zdaje się być miasto Patterson w Stanie Nowojorskim, zarazem znane siedlisko anarchistów.

Jednym z członków policyi amerykańskiej, jacy najwięcej przyczynili się do tępienia bandytów, należących do „Czarnej ręki“, był niejaki Petrosino, porucznik policyi w Nowym Jorku, którego portret dziś podajemy. Dzielny ten członek, z szaloną odwagą tropiący bandytów, padł z ręki skrytobójczej w Palermo, dokąd go wysłano w celu śledzenia członków „Czarnej ręki“, utrzymujących także we Włoszech liczne stosunki. Zwłoki Petrosiniego przewieziono do Nowego Jorku i pochowano tam z wielkimi honorami.

Piętnastolecie oddziału kolarskiego krakowskiego „Sokoła“.

W myśl pięknej zasady „w zdrowem ciele, zdrowy duch“ gromadzi „Sokół“ pod swym sztandarem coraz to liczniejsze zastępy, uprawiające, prócz gimnastyki, sporty wszelkiego rodzaju. To też każde prawie gniazdo sokole w Galicyi posiada swój oddział kolarski, a jednym z najdawniej istniejących jest oddział krakowski, który w ubiegłą niedzielę



Piętnastolecie oddziału kolarskiego krakowskiego Sokoła: Grupa uczestników uroczystości otwarcia sezonu.

rozpoczął swój piętnasty rok istnienia inauguracyjną wycieczką do Mogiły.

Jeśli jedną z naszych wad jest łatwa zapalność i brak wytrwałości w przeprowadzaniu zamiaru, to w istnieniu oddziału kolarskiego krakowskiego można znaleść zaprzeczenie tej opinii, a stwierdzenie, że hasła sokole nie są czczemi dla druhów, lecz że całem sercem oddali się idei sokolej. To też rozpoczynając piętnasty rok istnienia, drużyna kolarska krakowskiego „Sokoła“ z dumą spogląda na czternastoletni dorobek. Pomimo małych środków, krakowski oddział w każdem sportowem swem przedsięwzięciu dostatecznie jest reprezentowany i działalności swej nie zmniejsza, owszem w miarę sił i możności zwiększa ją z roku na rok, tężąc mięśnie i odwagę druhów w wyścigach, zachęcając do wytrwałej jazdy i poznanie pięknych okolic naszego kraju w dalekich wycieczkach i turystycznych konkursach.

Istnienie krakowskiego oddziału pobudziło do życia cały szereg takichże oddziałów w Galicyi, a ich współdziałanie, połączone z wykonywaniem haseł sokolich daje nadzieję trwalszego ich istnienia, niż całego szeregu innych sportowych klubów. Lwia część zasługi przypada gorliwej opiece Wydziału Towarzystwa i jego prezesa, który z wielką życzliwością odnosi się do oddziału kolarskiego i popiera jego dążenia. Nie bez zasługi jest i ścisły zarząd oddziału, od dziesięciu lat w tym samym prawie składzie stale wybierany, a gorliwie i sumiennie pracujący dla dobra Towarzystwa.

Illustracya nasza przedstawia grono członków oddziału bezpośrednio przed wyjazdem do Mogiły i przed wyścigiem sześciokilometrowym. Pierwszą nagrodę w nim zdobył druh Rice, drugą — druh Teofil Nikiel, trzecią zaś — druh Kurzawiński.



Fot. Jedliczka Praga.

I-szy Lwowski klub piłki nożnej w Pradze: Drużyna „Czarnych“.



Fot. Jedliczka Praga.

I-szy Lwowski klub piłki nożnej w Pradze: Niebezpieczny dla Polaków moment matchu.

Uroczystość 3 maja we Lwowie.

Tradycyjnym zwyczajem obchodził Lwów bardzo uroczyście rocznicę 3-go maja, której wspomnienie tkwi głęboko w sercu każdego Polaka. W dniu tym pogoda, która tak fatalnie zawiodła Kraków, dopisała w stolicy kraju i umożliwiła tysiącom osób wziąć udział w uroczystości.

Rozpoczęła się ona o godzinie 6 rano na Kopcu Unii lubelskiej, gdzie licznie zebrana młodzież szkolna i rzemieślnicza wywiesiła na szczycie flagę narodową i odśpiewała pieśni patryotyczne. Następnie kapela „Czwartaków“ przeciągła ulicami, grając pobudkę, z wieży zaś ratuszowej rozległy się hejnały, odegrane przez trębaczy kapeli narodowej.

O godzinie 11 rano odbyła się msza polowa na boisku sokolem, po niej zaś ks. Potrzebski wygłosił odpowiednie okolicznościowe a porywające kazanie.

Obecnymi na mszy byli przedstawiciele władz autonomicznych, rady miejskiej, goście węgierscy — o których pobycie we Lwowie piszemy na innem miejscu niniejszego numeru — liczne zastępy Sokoła, delegacye rozmaitych towarzystw ze sztandarami, znaczna liczba włościan, przybyłych z okolicy, a wreszcie nieprzejrzane tłumy publiczności.

Gdy nabożeństwo się skończyło, ruszyli wszyscy na niem obecni we wspaniałym pochodzie ku



Fot. Münz Lwów.

Uroczystość 3-go maja we Lwowie: Pochód uroczysty przed kolumną Mickiewicza na placu Maryackim.

miastu. Dopiero po godzinie 1 z południa stanęło czoło pochodu u stóp kolumny Mickiewicza na placu Maryackim. Reprezentacya rady miejskiej ustawiła się na jej stopniach, cały zaś pochód przed nią przedefilował. W imieniu Węgrów, którzy złożyli na pomniku bukiet ze świeżych kwiatów, prze-



Gościnne występy znakomitego artysty w Krakowie:
Żelazowski w roli Oswalda w „Upiorach“ Ibsena.

mówił gorąco poseł. dr. Nagy, poczem jego rodacy odśpiewali po węgiersku „Boże coś Polskę“ i hymn węgierski „Kossuth Lajos“. Mówcy podziękowano frenetycznymi okrzykami: *Eljen!*

Na zakończenie uroczystości odbyło się w teatrze miejskim popołudniowe przedstawienie, na które złożyły się wyjątki z „Kościuszki pod Racławicami“, z „Betleem polskiego“ i „Apoteoza 3-go maja“, wieczorem zaś w salach „Sokoła-Macierzy“, „Gwiazdy“ i „Czytelni kolejowej“ odbyły się obchody uroczyste.

Pierwszy Lwowski Klub piłki nożnej w Pradze.

Z pomiędzy rozmaitych gałęzi sportu, gra w piłkę nożną, czyli tak zwany z angielska „football“, cieszy się u naszej młodzieży, podobnie, jak i młodzieży w Anglii, w Niemczech i w Czechach wielkiem powodzeniem, jest bowiem w modzie. Drużyny graczy w piłkę nożną, jakie powstały we Lwowie i Krakowie ostatniemi czasy, doszły już do wysokiego wyrobienia, a teraz próbują nawet mierzyć się z przeciwnikami zagranicznymi.

Wśród polskich drużyn footbalowych jedno z pierwszych miejsc zajmuje drużyna I-go Lwowskiego Klubu piłki nożnej, t. zw. „Czarni“. Drużyna ta w ubiegłym miesiącu wybrała się do Pragi, aby tam zmierzyć się z Czechami, którzy cieszą się sławą europejską na punkcie gry w piłkę nożną.

„Czarni“ walczyli mężnie, między innymi także przeciw „Slawii“ praskiej, której członkowie są najtęższymi graczami w Czechach i chociaż ulegli, ale wykazali dużo zdolności i temperamentu, a przedewszystkiem wiele się nauczyli, co niezawodnie wpłynie korzystnie na ogół graczy polskich. Zostali wprawdzie mocno poturbowani przez Czechów grających bardzo brutalnie, ale i stąd mogli wyciągnąć naukę.

Jedna z naszych rycin przedstawia niebezpieczny moment gry dla Polaków, druga drużynę „Czarnych“ przed matchem, rozegranym ze „Slawią“.



Gościnne występy znakomitego artysty w Krakowie:
Roman Żelazowski.

Gościnne występy znakomitego artysty w Krakowie.

Obecnie rozpoczął szereg gościnnych występów na scenie krakowskiej jeden z najznakomitszych polskich artystów dramatycznych, który trzydzieści kilka lat temu na niej stawiał pierwsze kroki a mianowicie Roman Żelazowski obecnie reżyser teatru lwowskiego.

Artysta ten, który oprócz wrodzonego talentu posiada ogromny zasób inteligencyi i odznacza się wytrwałością w pracy, należy po części do dawnej dobrej szkoły, jaką była właśnie scena krakowska za dyrekcyi Koźmiana. Wyniósł on z niej zamiłowanie do wyraźnej dykcyi, szlachetnego gestu i opanowania każdej roli. Szczególniej w rolach tragicznych i bohaterskich jest niezrównanym, z gry jego bije siła i porywa słuchaczy.

Zresztą zbytecznem jest wyliczać wszystkie zalety talentu Żelazowskiego, którego oceniono nietylko u nas w kraju, lecz także na gościnnych występach w Czechach i Chorwacyi, bo Kraków ma go dobrze w pamięci. Nie wątpimy też, że publiczność krakowska zgotuje swemu dawnemu ulubieńcowi gorące przyjęcie, na jakie w ciągu swej karyery artystycznej rzetelnie zasłużył.



Gościnne występy znakomitego artysty w Krakowie:
Żelazowski w roli Otella.

Przesilenie na Węgrzech.

Sytuacya polityczna na Węgrzech gmatwa się coraz bardziej i niema wcale nadziei, aby stosunki tamtejsze doszły wkrótce do równowagi. W tym tygodniu przybył do Budapesztu cesarz Franciszek Józef, a jak przypuszczają dzienniki, podróż ta ma na celu tylko poinformowanie się na miejscu, rozstrzygnięcie zaś przesilenia zapadnie nie w Budapeszcie, lecz w Wiedniu. Cesarz miał się oświadczyć przeciw utworzeniu gabinetu, złożonego wyłącznie z członków partyi niezawisłości.

W Budapeszcie górują trzy prądy. Jeden domaga się powołania ministerstwa Justha i żąda stanowczo utworzenia samodzielnego banku węgierskiego. Prąd ten ma w swym programie porozumienie z innemi narodowościami, zamieszkującemi kraje korony św. Szczepana, oraz powszechne prawo głosowania. Drugi prąd zostający pod wpływem Kossutha, skłania się do porozumienia z partyami dualistycznemi. Trzecia wreszcie grupa, życząca sobie



Przesilenie na Węgrzech: Franciszek Kossuth.



Przesilenie na Węgrzech: Wekerle, prezydent gabinetu węgierskiego.

utrzymania fuzyi wszystkich koalicyjnych stronnictw, z Wekerlem na czele, cieszy się poparciem hr. Andrassego. Jeśliby z żadną z powyższych grup nie przyszło do porozumienia, powoła cesarz do życia gabinet przejściowy.

O powszechne prawo wyborcze walczą bardzo namiętnie robotnicy. W dniu przybycia cesarza do stolicy Węgier projektowaną była wielka demonstracya za ogólnem prawem wyborczem, nie przyszła jednak do skutku. Na dworcu zebrało się wprawdzie około 2000 robotników, nie poznali jednak powozu cesarskiego, dopiero w drodze, gdy zauważono, że w powozie siedzi cesarz, rozległy się okrzyki: *Eljen!* a socyaliści odzywaii się tu i ówdzie: „Co słychać z powszechnem prawem głosowania?“

Cesarz pozostaje w Budapeszcie do przyszłego wtorku. W czasie pobytu powoła do siebie cały szereg wybitnych osobistości, aby zasięgnąć ich zdania co do położenia wewnętrznego w kraju.

Do Skały Kmity.

Urocze są nad wyraz okolice Krakowa, szkoda tylko, że Krakowianie zamało się niemi interesują, zamało korzystają w wolnych chwilach z przyjemności, jaką daje pobyt na łonie pięknej przyrody. Pomiędzy zaś tylu nadającymi się do wycieczek punktami w okolicach naszego grodu, Skała Kmity zajmuje jedno z miejsc naczelnych.



Komunikacya do tej miejscowości jest bardzo ułatwiona, leży ona bowiem pół godziny drogi od Zabierzowa, gdzie znajduje się stacya kolei północnej, przez którą przechodzi dziennie znaczna liczba pociągów. Można także dostać się tam z przystanku Mydlniki, albo piechotą albo też wozami, które w każde święto czekają na gości.

Skała Kmity, z którą związane jest poetyczne podanie o śmierci młodego Kmity, kochającego się bez wzajemności w pięknej Bonerównie, ma prześliczne położenie. Może ona zachwycić najwybredniejszego nawet miłośnika natury. Pragnąc zaś u przyjemnić pobyt w tej miejscowości osobom ją zwiedzającym, zaszczytnie znany restaurator, p. *Władysław Bogacki*, utrzymuje w niej bufet obficie zaopatrzony, w którym o każdej porze dnia smacznie i tanio można się posilić. Od 1-go maja przygrywa tam również doskonała orkiestra.

Wolno spodziewać się, że Krakowianie i przejezdni, zwiedzający gród podwawelski, będą podobnie, jak w latach dawniejszych, korzystali z tych udogodnień przy zwiedzaniu Skały Kmity, która jest bezsprzecznie jednym z najpękniejszych celów wycieczek w okolice podmiejskie Krakowa.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 17.

Łamigłówka: Jerzy.
Logogryf: Sofokles-Antygona.
Kwadrat magiczny: Targ, Amor, cela, Anam, taca, amen, rola, gram.
Krzyż magiczny: Lublana, Kalikst, Krakusy.
Szarada: Kopalnie.
Krzyż magiczny: Stentor, igliwie, dziwacy, Bielica, leniwce, potwarz.
Łamigłówka: Klara, balon, Kreta, alarm, batet, groty.
Zgłoskówka: Oś. łoś.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: O. Górkowa Chyrów, S. Lipski Lwów, M. Olszewska Kraków, W. Lis Lwów, K. Drobner Czerniowce, J. Wirski Lwów, K. Lasocki Warszawa, E. Rosengarten Rzeszów, B. Lustgarten Łódź, S. Amirowicz Czerniowce, W. Uznański Kraków, S. Madejski Kraków, C. Zajączkowski Warszawa, S. Bilemmer Lwów, Z. Włodzimierski Warszawa, C. Zembrzycki Tarnopol, A. Biliński Tarnopol, W. Osowski Warszawa, K. Kaczmarowski Rzeszów, W. Bryginowiczs Tarnów, K. Krupski Łódź, F. Ghbhardt Kraków, M. Kornicki Sanok, M. Aronsohn Podgórze, H. Chodkiewicz Warszawa, J. Żugaj Wilamowice, S. Cześnikiewicz Kraków, K. Fuchs Czeremchów, W. Ostaszewski Krotoszyn, K. Zdobnicki Mława.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *K. Kaczmarowski Rzeszów.* Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał **Gaston Leroux.**

11 (Cąg dalszy).

— Lecz pan przecież był na Czerwonych Skałach — odparł Rance — a on się nie ukazał. Ukrywa się tam teraz, szykując jaką potworną zbrodnię... Trzeba go wykurzyć z tamtych jam.

— Wycieczka na Czerwone Skały nie przyniosła istotnie żadnego skutku — przyznał Rouletabille — ale dlatego, że poszedłem sam... chodźmy tam wszyscy, a za powrotem znajdziemy rezultat...

— Jakto, za powrotem? — zapytał Darzac, nic nie rozumiejąc.

— Tak — wytłómaczył Rouletabille — po powrocie do zamku, gdzieśmy zostawili samą panią Darzac i gdzie już jej więcej nie znajdziemy... Oh! — gdzie... wśród ogólnego milczenia — to tylko przypuszczenie. Na razie jednak musimy zwracać uwagę i na przypuszczenia...

Przypuszczenie to przygniatało nas. Gdyby nie Rouletabille, popełnilibyśmy wielkie głupstwo, wywołalibyśmy katastrofę...

— Na razie — rzekł w zakończeniu — nie mamy nic innego do uczynienia, jak tylko zabarykadować się. Oh! barykady prowizoryczne, gdyż od jutra fort cały musi stanowić dla nas istotną obronę. Obecnie ojciec Jakób broni wjazdu do fortu, Mattoni pełni straż w kaplicy, to przejście zarezerwowałem dla siebie, ojciec Bernier będzie czuwał przy bramie Wieży Czworobocznej, zaś matka Bernier, która ma bardzo dobre oczy i której w dodatku dałem jeszcze lunetę, pozostanie przez całą noc na wierzchu wieży. Pan Artur i pan Robert udadzą się na pierwszy dziedziniec i będą się przechadzali aż do wschodu słońca, jeden po jednym murze, drugi po drugim. Służba tej nocy będzie ciężka, ale dla tego, że nie jesteśmy jeszcze zorganizowani. Jutro ułożymy lepiej i weźmiemy do pomocy służbę, na którą można liczyć, resztę wydalimy z zamku. Pan przeniesie ukradkiem do tego pokoju wszystką broń, jaką posiada, rano zaś każe pan wezwać cieśli i murarzy. Wszyscy oni zostaną policzeni i pod żadnym warunkiem nie będą mogli stąpić na drugie podwórze, również zostaną policzeni i przy odejściu, aby przypadkiem nie ukrył się który z nich. W przeciągu tego jednego dnia będą musieli ukończyć robotę, to jest zrobić drzwi do tego wejścia i naprawić w dwóch miejscach wyłomy w murze. Wtedy dopiero będę mógł opuścić panią Darzac i wybrać się na istotne poszukiwania Larsana. A teraz, panie Arturze, po broń! Niech pan przyniesie wszystko, co tylko można. Swój rewolwer pożyczyłem Bernierowi, który spaceruje przed drzwiami apartamentu pani Darzac.

VIII.

W godzinę potem wszyscy już byliśmy na swoich posterunkach, przechadzając się przy świetle księżyca po murze, bacząc na ziemię i wodę, wsłuchując się uważnie w każdy szmer. W nocy wstała pani Edyta i przyszła do Rouletabille'a, lecz ten zawołał mnie do jej towarzystwa, a sam poszedł patrolować. Była ona w doskonałym humorze, śmiejąc się z przybladłej twarzy swego męża, któremu przyniosła kieliszek whisky.

— Oh! jak to wszystko śmieszne — mówiła, klaskając rękami. — To bardzo śmieszne!... Jakże ja pragnęłabym poznać tego Larsana. Co to za człowiek?

Dwie godziny spędziłem z rozkoszną panią Edytą na opowiadaniu jej strasznych lecz autentycznych historyi o Larsanie-Ballmeyerze.

Ballmeyer miał szczęśliwą młodość. Do występków nie zmusiła go, jak wielu podobnych, nędza. Syn bogatego kupca mógł marzyć o innej przyszłości, przeznaczeniem jednak jego było widocznie wkładanie rąk do cudzej kieszeni. Od wczesnej młodości zapisał się do rzędu opryszków, tak jak jego rówieśnicy zapisywali się do rzędu uczniów różnych szkół. Pierwszy występ jego był genialny. Historya jest prawie nieprawdopodobna — Ballmeyer skradł list pieniężny adresowany do firmy swego ojca, potem wyjechał do Lyonu, skąd napisał do domu następujący list:

„Panie, jestem dawnym wojskowym, ozdobionym medalami. Syn mój, urzędnik pocztowy przywłaszczył sobie list adresowany do Pana dla zapłacenia honorowego długu. Zwołałem radę rodzinną; za kilka dni będziemy mogli zebrać potrzebną sumę. Pan jest ojcem, miej litość nad drugim ojcem! Nie niszcz Pan przyszłości, nie rzucaj cienia na mą nieskazitelną przeszłość!“

Ballmeyer ojciec przychylił się do tej prośby. Do dzisiaj jeszcze oczekuje wypłaty, a raczej już jej nie oczekuje, gdyż proces, jaki się odbył w dziesięć lat potem, odkrył prawdziwego winowajcę. Ballmeyer zdawało się, iż od natury otrzymał wszystkie talenta, niezbędne dla zawodowego opryszka; niezwykłą bystrość umysłu, dar przekonywania naiwnych, skrupulatność w obmyślaniu szczegółów swych występków, nadzwyczajną zdolność charakteryzowania się i przezorność posuniętą do tego stopnia, iż kazał sobie znaczyć fałszywemi inicyałami bieliznę, ilekroć zmieniał swe nazwisko. Najznamienniejszym jednak jego rysem była ironia i drwiny z policyi; o przestępstwa swoje oskarżał zawsze kogo innego, wiedząc z doświadczenia, ile to czasu traci policya napróżno, gdy raz wejdzie na błędną drogę. Tę radość z mistyfikowania sędziów obserwować można było we wszystkich jego występkach. W wojsku skradł Ballmeyer kasę pułkową, a oskarżył o to swego kapitana. Dopuścił się kradzieży czterdziestu tysięcy funtów na szkodę domu Furet i zaraz doniósł sędziemu śledczemu, iż Furet sam się okradł.

Sprawa ta pozostanie na zawsze sławną w kronikach sądowych. Będąc urzędnikiem w biurze domu handlowego braci Furet, skradł przekaz na tysiąc sześćset funtów szterlingów, poczem udając głos Edmunda Fureta, zatelefonował do bankiera Cohen, czy może wypłacić tę sumę. Po otrzymaniu twierdzacej odpowiedzi Ballmeyer zepsuł telefon, by uniemożliwić wszelkie sprawdzenie i przez swego wspólnika Rivarda, z którym służył razem w pułkach afrykańskich i z którym wspólnie uciekł, podniósł z banku te pieniądze. Teraz wykazał swe mistrzowstwo: zadenuncyował natychmiast Rivarda i samego okradzionego Fureta. W gabinecie sędziego śledczego nastąpiła epokowa konfrontacya.

— Ależ, mój drogi panie Furet — rzekł Ballmeyer do osłupiałego pryncypała — bardzo mi przykro, że pana obwiniam, lecz musi się stać zadość sprawiedliwości. Wykręcić się już pan nie może, lepiej więc niech się pan przyzna! Potrzebował pan czterdziestu tysięcy na zapłacenie pewnego dłużku i załatwił pan to na rachunek nie własny a swego przedsiębiorstwa. Czyż nie tak? Zresztą pan sam telefonował.

— Ja! ja! — wybąkał oszołomiony Furet.

— Eh, dosyć już zaprzeczania, przecież poznano pański głos.

Okradziony przesiedział ośm dni w więzieniu ze sporządzonym przeciw sobie wielkim aktem oskarżenia; potem dopiero ówczesny urzędnik sądowy a obecnie minister handlu, Cruppi, musiał oficyalnie przepraszać Fureta w imieniu jeneralnego prokuratora. Rivard zaś został skazany na dwadzieścia lat ciężkich robót. Możnaby opowiedzieć całą seryę podobnych spraw Ballmeyera.

Najsławniejszą była jego ucieczka z więzienia. Zredagował tam bezsensowny długi memoryał w tym celu, aby zaprowadzono go do sędziego śledczego Villersa: składając go na stole przed sędzią, porwał leżący formularz rozkazu wypuszczenia go na wolność.

Po odprowadzeniu do więzienia akt ten wypełnił i podpisał nazwiskiem Villers. Brakowało jednak pieczęci, lecz tem się nie zakłopotał. Na drugi dzień ziawił się znowu u sędziego z rozkazem w rękawie, bronił gorąco swej niewinności w sprawie, z powodu której został aresztowany, udał wielkie oburzenie, gestykulował żywo wziętą ze stołu pieczątką i przewrócił niby mimowoli kałamarz na niebieskie spodnie dozorcy, który go przyprowadził. Skorzystał wtedy zręcznie z zamieszania, jakie się zrobiło i odbił pieczątkę na rozkazie uwolnienia. Wychodząc z gabinetu sędziego, rzucił nieznacznie ten rozkaz na stolik woźnego, który go odniósł pod właściwym adresem. Tegoż wieczoru Ballmeyer był wolny. Dużo czasu potrzeba na wyliczenie wszystkich awantur Ballmeyera.

Po kolei hrabia de Maupas, wicehrabia Drouet d'Erlou, hrabia de Motteville, hrabia de Bonneville, elegancki, bywalec w świecie, działał na plażach, w miastach kuracyjnych, przegrywał w klubach po dziesięć tysięcy na jeden wieczór, otoczony był zawsze pięknemi kobietami, które czekały na jego uśmiech; ten osławiony opryszek był także i uwodzicielem...*)

Zdawało mi się, że już dosyć opowiedziałem Edycie o tym sławnym bandycie. Słuchała mnie pogrążona w milczeniu, lecz gdym się nachylił nad nią, okazało się, iż śpi. Postawa jej nie bardzo mnie zbudowała, lecz ponieważ mogłem przyglądać się dowoli jej postaci, w sercu mem zrodziły się uczucia, z któremi długo musiałem walczyć.

Noc cała minęła bez żadnego znaczenia. Z wielką ulgą powitałem wschodzące słońce, lecz dopiero o ósmej pozwolił mi Rouletabille położyć się spać, gdy wydał już wszystkie rozporządzenia. Osobiście dopilnował wszystkich robót, tak, iż wieczorem fort stał się nie do zdobycia. W wolnej chwili zaczął rysować plan wszystkich gmachów.

— Popatrz Sinclair; Głupcy pomyśleliby, *że się obwarowuję, by się bronić.* Jest to tylko podrzędniejsza część prawdy, *gdyż obwarowuję się, by ściśle rozumować.* Jeżeli łatam wyłomy w murze, to nietyle dlatego, by Larsan przez nie się nie dostał, lecz aby odebrać mojemu umysłowi możność „ucieczki“. Nie mógłbym rozmyślać naprzykład w lesie! Jakże można zastanawiać się nad czem w lesie, gdzie myśl ucieka na wszystkie strony między drzewa! Co innego w zamkniętym zamku! To tak, jakby w szczelnym kufrze: gdy jesteś w nim w środku, *tam znajdują się i twoje myśli i nie mogą uciec.*

— Tak, tak — potwierdziłem — wszystkie twe myśli są teraz skupione!...

— Słusznie mówisz — rzekł — ale idź położyć się, gdyż śpisz stojąc.

IX.

Gdy koło jedynastej rano matka Bernier zapukała do moich drzwi, mówiąc, iż Rouletabille prosi, bym wstał, zerwałem się zaraz z łóżka i podbiegłem do okna.

Nigdy natura nie okazała mi się piękniejszą, czarowniejszą, bardziej godną kochania, jak teraz. Niebo jasne, fioletowe z boku góry, pociągające przezroczyste morze, stanowiły cudowny krajobraz, jakiego najgenialniejszy malarz nie potrafiłby wymalować. Naraz ujrzałem, jak jakiś człowiek bije morze. Oh! bił ze wszystkich sił! Rozpłakałbym się, gdybym był poetą. Nędznik ten złość swoją wywierał na morzu. Uzbrojony w długi kij stał na małej łódce i sypał razy morzu, co aż wzbudziło nieme oburzenie kilku przechadzających się cudzoziemców. Ponieważ jednak w stronach tych bezpieczniej jest nie mieszać się w nieswoje sprawy, nikt nie zaprotestował.

*) Postać ta jest historyczna. Patrz Albert Bataille: *Causes criminelles et mondaines.*

(Ciąg dalszy nastąpi).